POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | Dnia 21-go lutego 1942r. | Rok IV. Nr. 8

TAJEMNICE ARMII NIEMIECKIEJ

Nic nie jest trudniejsze w czasie wojny, aniżeli poznać dobrze przeciwnika. Żadna wiadomość, poza bezspornymi faktami, przychodząca z "tamtej" strony, nie może być przyjmowana bez zastrzeżeń. Aby uzyskać odpowiedź na pytanie, co naprawdę myśli, jak walczy, jakim duchem jest ożywiony żołnierz niemiecki, musimy zestawiać fragmenty faktów i ocen, drobne epizody i pogłoski i wysnuwać stąd wnioski, które mogą odpowiadać prawdzie, ale mogą być także błędne.

WALOR ŚWIADECTW AMERYKAŃSKICH

Szczególnie cenne są książki, pisane przez korespondentów amerykańskich, którzy spędziwszy rok czy dwa lata wojny w Berlinie, powrócili do swego kraju i opublikowali swe wrażenia. Póki byli w Niemczech, nie mogli pisać prawdy, gdyż cenzura nie pozwoliłaby im wysyłać bardziej szczerych relacji. Teraz, po powrocie do Ameryki, mogą pisać wszystko. A są wśród nich obserwatorzy bardzo inteligentni, którzy mieli możność widzieć wiele i którzy potrafią wysnuć ze swych obserwacji wnioski trafne i umotywowane.

W ostatnich miesiącach ukazało się takich książek o Niemczech kilka. Wszystkie one mają jedną wielką zaletę i jedną wielką wadę. Zaletą jest uczciwość autorów, którzy wystrzegają się brania swych życzeń za rzeczywistość, czyli nie ulegają popularnej chorobie, zwanej w Wielkiej Brytanii, "*wishful thinking*," lecz piszą prawdę o Niemczech, nie ukrywając rzeczy, które mogłyby rozczarować czytelnika amerykańskiego lub brytyjskiego, oczekującego załamania się Niemiec lada dzień. Amerykanie piszą o słabych punktach Niemiec, ale także o ich sile. Piszą o tym, co naprawdę dzieje się w Niemczech. I to przydaje ich książkom takiej ceny.

Wadą tych książek jest to, że pozostają w tyle za wydarzeniami. Książki, które ukazują się obecnie, pisane były w lecie, lub wcześniej jeszcze; ich autorzy opuścili Niemcy przed rokiem, a w każdym razie przed wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej. Tym samym nie mogą uwzględniać tych głębokich zmian, jakie musiały nastąpić w nastrojach czy to mas niemieckich, czy też armii niemieckiej z powodu zawodu nadziei szybkiego zwycięstwa, z powodu wielkich strat oraz, z powodu warunków, w jakich toczą się walki. W rezultacie wnioski słuszne rok temu, wymagałyby dziś niewątpliwie rewizji, aby je można uznać za odpowiadające obecnemu stanowi rzeczy.

Jeśli jednak trzeba uwzględniać te zmiany, wiele rzeczy, które znajdujemy w książkach korespondentów amerykańskich o ich wrażeniach z walczących Niemiec, nadal nie straciło nic na aktualności, stanowiąc bardzo cenny przyczynek dla poznania przeciwnika.

SEKRET POWODZEŃ I LEGENDA O "TAJNEJ BRONI"

Najświeższa z książek amerykańskich o Niemczech "*Pattern of Conquest*" J. Harscha,* korespondenta jednego z najlepszych i najpoważniejszych pism amerykańskich *Christian Science Monitor*, wśród wielu ciekawych komentarzy zawiera też dużo interesujących szczegółów z za kulis armii niemieckiej. Jak każdy obserwator, Harsch zadaje sobie pytanie, w jaki sposób należy sobie wytłumaczyć wielkie zwycięstwa Niemców i czego inne narody mogą się od nich w dziedzinie techniki wojskowej nauczyć.

Trzeba oczywiście pamiętać, że autor nie jest rzeczoznawcą wojskowym, lecz laikiem. Nie zmniejsza to jednak bynajmniej wartości jego obserwacji. Poza tym należy uwzględnić, że pisze on przede wszystkim dla Ameryki i chcąc przyczynić się do przeprowadzenia reform w amerykańskiej organizacji wojskowej, specjalnie podkreśla pewne zjawiska, zaobserwowane w armii niemieckiej.

Szukając klucza do sukcesów niemieckich, odrzuca Harsch próby tłumaczenia ich jakąś "tajną bronią," stwierdzając, że w dziedzinie mechanicznej Niemcy do tej pory nie zaprodukowali niczego, co by można uznać za "tajną broń." Są niewątpliwie techniczne ulepszenia, ale osiągnęły je również armie sprzymierzone. Czołgi, samoloty i działa Sprzymierzonych były równie dobre, a często lepsze od niemieckich.

Nie należy też jego zdaniem szukać wytłumaczenia wszystkiego w przewadze jednostek pancernych. Przede wszystkim główne przełomy dokonane zostały na zachodzie nie przez czołgi, lecz przez oddziały saperskie i pionierskie. Dywizje pancerne były użyte do rozszerzenia tych przełomów. Poza tym zaś Francja została zdobyta przez armię, złożoną przeważnie z piechurów maszerujących pieszo, podczas gdy sprzęt ciągniony był przez konie i muły.

"Przed ofensywą na Zachodzie—opowiada Harsch—przejeżdżałem przez rejon postoju pewnego korpusu, który następnie brał udział w ataku przez Luksemburg na Francję. Niemal wszystko, nie wyłączając artylerii, ambulansów, kolumn zaopatrzeniowych miało zaprzęg konny. . . . Po zawieszeniu broni dywizja berlińska powróciła do stolicy na paradę zwycięstwa. Przedefilowała ona pod Brandenburger Tor w pełnym rynsztunku—i cały sprzęt miał zaprzęg konny."

Toteż zdaniem Harscha, samoloty i czołgi, przy całym swoim olbrzymim znaczeniu, były jedynie końcowym dopełnieniem innych, bardziej podstawowych czynników, bez których, same w sobie, byłyby niemal bez znaczenia.

Punktem wyjścia zwycięstw niemieckich było samo ujęcie zagadnienia wojny. Przegrawszy wojnę światową niemieckie naczelne dowództwo dążyło do uniknięcia błędów, które spowodowały klęskę. W ten sposób zrodziła się nowa doktryna i nowa technika wojny.

NACZELNY PROBLEM DOWÓDCZY

W wojnie ruchomej, ku której zwróciły się Niemcy, na pierwszy plan wysunęło się zagadnienie dowodzenia. I w tej właśnie dziedzinie Niemcy, zdaniem Harscha, osiągnęli największe wyniki.

Autor amerykański utrzymuje, że w dzisiejszej armii niemieckiej jakoby jedyną podstawę awansu i dowodzenia stanowi kryterium zdolności. Urodzenie, stosunki osobiste, ani przynależność do partii nie decydują o niczym. Już w czasach pokojowych zrobiono wszystko, aby wynaleźć odpowiednich dowódców. Manewry nie były ćwiczeniem dla zabicia czasu, oficer, który dowodził dobrze i osiągnął sukces na manewrach, był natychmiast awansowany. Natomiast oficer, który zawiódł, był pozbawiany dowództwa.

Dalej ważnym czynnikiem jest fakt, że oficer niemiecki nie jest obciążony żadną robotą administracyjną. Nie siedzi przy biurku, lecz cały niemal czas jest razem z żołnierzami.

Obok zdolności taktycznej osobiste walory jako przywódcy odgrywają wielką rolę. Oficer musi nie tylko doskonale znać swych żołnierzy, lecz także wzbudzać w nich całkowite zaufanie. Ma on polecone być powiernikiem i przyjacielem swych podkomendnych. Odbywa często rozmowy prywatne z każdym z nich, zna ich życie rodzinne, ich sprawy i kłopoty. Jeśli żołnierz ma jakiekolwiek troski finansowe czy rodzinne, oficer winien być dlań doradcą, a poza tym postara się dlań o urlop.

Za bardzo godną uwagi uważa Amerykanin niemiecką reformę w zakresie salutowania. Żołnierz niemiecki salutuje nie tylko oficerowi, lecz również każdemu swemu koledze. W ten sposób salutowanie przestało być podkreśleniem stopnia wojskowego, ale jest wzajemnym pozdrawianiem się wszystkich, noszących mundur.

Te same walory w dziedzinie przywództwa, jakie wykazują oficerowie, charakteryzują na ogół również podoficerów. Jednym z powodów szybkości posuwania się Niemców we Francji była zdolność i energia dowódców plutonów, którzy często zdobywali pozycje wcześniej, niż było przewidziane, działając z własnej inicjatywy i bez rozkazów.

Wiek nie gra roli. Są majorzy, liczący poniżej 25 lat i feldmarszałkowie poniżej 40. Z drugiej strony, jeśli ktoś zachował świeżość i zdolności, przekroczenie teoretycznej granicy wieku nie stoi mu na przeszkodzie. Von Rundstadt liczy np. 65, a von Leebe 66 lat.

Na temat współpracy lotnictwa i czołgów korespondent amerykański niewiele ma do dodania do rzeczy powszechnie znanych. Natomiast z rzeczy mniej znanych, a stanowiących ważny czynnik powodzenia Niemiec w kampaniach pierwszych dwu lat wojny, wymienia system przygotowywania poszczególnych uderzeń.

DROBIAZGOWOŚĆ PRZYGOTOWANIA I SPECJALIZACJA

W chwili gdy zapada decyzja podjęcia takiej czy innej kampanii, naczelne dowództwo przede wszystkim wybiera dowódcę, uważanego za specjalnie nadającego się do tej właśnie operacji. Przystępuje on następnie do zgromadzenia siły "dla specjalnego zadania." Oficer wyznaczony do takiego specjalnego zadania może być oficerem armii lądowej, marynarki lub lotnictwa. Tak np. operacja norweska powierzona była admirałowi. Wyznaczony dowódca dobiera siły lądowe, powietrzne i morskie, które uważa za niezbędne i na czas operacji pozostają one pod jego dowództwem.

System "siły do specjalnego zadania" stosowany jest nawet do najmniejszych jednostek. Żołnierze, którzy zdobyli słynny fort Eben Emael w Belgii, wiedzieli na kilka miesięcy z góry, jakie ich czeka zadanie. W tym wypadku wyznaczony został na dowódcę młodszy oficer, któremu pozostawiono wybór taktyki dla zdobycia fortu i dobór odpowiednich ludzi. Oddział wybudował w Niemczech (czy nawet w Polsce) kopię fortu i przećwiczył każdy szczegół ataku w ciągu miesięcy.

Ta sama jednostka nigdy nie wykonuje dwu różnych zadań. Dla każdego zadania tworzona jest specjalna siła. Ten sam oficer może dowodzić w jednej operacji, a zajmować stanowisko podrzędne w innej. Człowiek, który prowadzi operacje na otwartych przestrzeniach Polski, w żadnym razie nie będzie dowodził w górach Norwegii czy Grecji.

SŁABE STRONY

To co stanowi siłę armii niemieckiej, jest jednak zarazem źródłem jej słabości. Książka Harscha pisana jest przed wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej z jej wszystkimi konsekwencjami. Nie mniej jest on przekonany, że W. Brytania i St. Zjednoczone mogą pobić Niemcy, gdyż w miarę jak rozszerzają się podboje Hitlera, powstają dla Sprzymierzonych co raz to nowe możliwości przejęcia inicjatywy, a jednocześnie siły Niemiec muszą się wyczerpywać. Największym atutem Niemiec do tej pory było to, że stanowili stronę atakującą, mogli dokładnie przygotować i planować swe uderzenia. Gdy Sprzymierzeni będą w stanie uderzać co raz to gdzie indziej i Niemcy nie będą wiedzieli, gdzie nastąpi uderzenie, sytuacja ulegnie odwróceniu.

* * *

Oto najważniejsze momenty tej części książki Harscha, która poświęcona jest armii niemieckiej. Daje ona cenny materiał do przemyśleń dla Sprzymierzonych, gdyż poznanie przeciwnika i jego metod jest pierwszym krokiem do jego zwyciężenia.

ALEKSANDER BORAY

*"*Pattern of Conquest.*" By *Joseph Harsch. London,* 1942. *Jonathan Cape.*

O CZYM TU MARZYĆ?

O czym tu marzyć?—kiedy wiem, że w kraju
rozpacz narasta a niedola sieje
ziarna goryczy w skibach krwią zalanych,
na których Pan Bóg zostawił nadzieję.

O czym tu marzyć?—kiedy wszyscy moi
znoszą ostatkiem siły ucisk dziki,
czekając ufnie na promyk pomocy
i nowe przyjście świętej Weroniki.

O czym tu marzyć?—gdy w gruzach kościoła
Chrystus bolesnym zanosi się płaczem,
że błogosławić cierpiących nie może,
bo stracił rękę urwaną kartaczem.

Ach, marzę o tym, ażeby powrócić,
choćby na gruzy za sercem wydarte,
przyjść na kolanach i głowę położyć
na progu domu, gdzie spełniają wartę.

Ach, marzę o tym, ażeby powrócić,
winę dosięgnąć, choćby zakopaną,
życie ożywić i pracę wytrudzić,
dolę zaś podnieść z kolan skatowaną.

Ach, marzę o tym, ażeby powrócić
i przypiąć Matce pomiędzy ranami
krzyż bohaterstwa i za los zniesiony,
całować ręce gorącymi łzami.

JERZY FACZYŃSKI

Franklin Delano Roosevelt

III*

Polityka zagraniczna Roosevelta miała dwa oblicza: amerykańskie i światowe.

W Ameryce jego dojście do władzy znamionowało koniec imperializmu amerykańskiego wobec państw Ameryki Łacińskiej. Roosevelt wycofał wojska amerykańskie z Nikaragui i Haiti, zgodził się na usunięcie z konstytucji kubańskiej t.zw. *Platt Amendment*, które pozwalało na interwencję Stanów w wewnętrzną politykę Kuby. Skończył także z t.zw. *dollar diplomacy*—z przekupywaniem polityków południowo-amerykańskich dla wzmocnienia stanowiska Stanów, a także z wywieraniem nacisku finansowego w celu osiągnięcia wpływu politycznego. Hasłem jego polityki było *good neighbourship* — stosunki dobrosąsiedzkie.

Ta polityka Rooseveltowska zaczęła powoli przełamywać nieufność do Stanów Zjednoczonych, która panowała w krajach Ameryki Łacińskiej. Jedna Argentyna przyglądała się niechętnie tej zmianie. Bo w Południowej Ameryce nieufnie nastrojonej wobec Stanów siłą rzeczy Argentyna grała pierwsze skrzypce. /Co prawda Brazylia jest większa i bogatsza od Argentyny, ale po pierwsze polityka brazylijska stale szła w porozumieniu ze Stanami, po wtóre Brazylia względnie mało mieszała się do spraw reszty kontynentu amerykańskiego/.

Rezultat tej polityki widzieliśmy niedawno, na ostatniej konferencji panamerykańskiej, na której wszystkie państwa z wyjątkiem Argentyny i Chile solidaryzowały się ze Stanami i zerwały stosunki z "osią." Nawet Meksyk, tradycyjnie wrogo względem Stanów nastrojony, Meksyk, który w latach 1914-1918 o mało nie wszedł do wojny po stronie Niemiec, jest dzisiaj w przymierzu ze Stanami.

W polityce światowej celem Roosevelta było wzmocnienie współpracy międzynarodowej. Dał tego dowód przez wprowadzenie Stanów do Międzynarodowego Biura Pracy i przez zgodę na to, by Amerykanin /obecny ambasador Stanów w Londynie/ został jego dyrektorem. Już na lata przed wojną obecną Roosevelt starał się przełamać izolacjonizm amerykański, starał się przekonać naród amerykański, że to, co się dzieje w Europie, Azji, czy Afryce jest także i jego sprawą.

Klasyczny przykład tego stanowi jego stanowisko w sprawie wojny etiopskiej. Stany nie należały do Ligi Narodów, nie były obowiązane do stosowania sankcji przeciw włoskiemu napastnikowi. Jako państwo neutralne wręcz przeciwnie winny były jednako traktować obie strony wojujące. To też zaraz po wybuchu wojny Roosevelt zakazał obywatelom amerykańskim podróżowania na okrętach obu stron wojujących, zarówno włoskich jak i abisyńskich. To, że abisyńskich okrętów nie było, a że włoskie linie okrętowe przewoziły do Ameryki tysiące pasażerów to był oczywiście przypadek, a nie naruszenie neutralności. Gdy zaś Liga obradowała nad sankcją naftową, Roosevelt ustawowo nie mógł i nie próbował nic zrobić, ale nieoficjalnie wywarł nacisk na firmy amerykańskie, aby na wypadek uchwalenia tej sankcji prywatnie odmówiły Włochom sprzedaży benzyny.

Roosevelt był antyfaszystą. Ambasadorowie jego w Berlinie i Rzymie nie taili przed Hitlerem i Mussolinim, że prześladowanie wolności musi się źle odbić na stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi. W Norymberdze na zjazdach partyjnych ambasadorowie Roosevelta świecili nieobecnością. Po ostatnim zaś wielkim pogromie w Niemczech Roosevelt odwołał na znak protestu swego ambasadora z Berlina. Przed samym wybuchem wojny Roosevelt interweniował w Berlinie i starał się powstrzymać Hitlera od zbójeckiego napadu na Polskę. Na próżno.

Prezydent Stanów zresztą wiedział o tym, że faszyzm musi doprowadzić do wojny. Ostrzegał naród amerykański, że wojna grozi, ostrzegał, że może wybuchnąć w 1939 roku. Na co, nawiasem mówiąc, senator Borah, wódz izolacjonistów, pogardliwie odpowiedział, że Roosevelt ma złe informacje i że on, Borah, ręczy, iż wojny nie będzie.

Gdy wojna wybuchła Roosevelt miał przed sobą niesłychanie ciężkie zadanie. Wiedział od pierwszej chwili, że należy pomóc tym narodom, które walczą o wolność, pragnął całą duszą od pierwszej chwili rzucić na szalę całą siłę Stanów Zjednoczonych. Nie był jednak dyktatorem. Był prezydentem wolnego narodu, prezydentem, który musiał się liczyć nie tylko z parlamentem, ale i z opinią publiczną. Co więcej podlegał ponownemu wyborowi w roku 1940 i wiedział, że jeżeli będzie zbyt gwałtownie forsował pomoc dla Sprzymierzonych, to wybory pójdą pod hasłem obalenia człowieka, który wciąga Stany w wojnę, daleką, obcą i obojętną, który chce poświęcić miliony młodzieży amerykańskiej po to, by Pomorze pozostało polskie.

Musiał więc iść niesłychanie ostrożnie i powoli, starał się nie wyprzedzać opinii publicznej, ale pozornie jej ulegać. Pamiętamy przecie, ile razy prasa amerykańska krzyczała, że Roosevelt działa zbyt powoli, że prowadzi naród niedość energicznie. Pamiętamy, że oskarżenia te w roku 1941 miotał nie kto inny, jak Wendell Willkie, republikański kandydat na prezydenta, który zapomniał o tym, że jemu, gdyby był zwyciężył, republikańska maszyna nie byłaby pozwoliła nawet na ćwierć tej pomocy, której Roosevelt udzielał demokracjom.

Jakżeż Roosevelt w duszy musiał się uśmiechać, on, który wiedział, że to jego przemówienia, że to przemówienia jego ministrów, przez niego aprobowane, że to cała jego polityka doprowadzała właśnie do tego, iż opinia publiczna domagała się energiczniejszego kierownictwa. Krok po kroku, nieznacznie Roosevelt prowadził Stany do rzucenia całej siły w rozgrywający się konflikt. Krok po kroku, aż wreszcie kraj, w którym w roku 1939 było z górą 60 procent izolacjonistów, uważających, że cała wojna Amerykę nic a nic nie obchodzi, a 95% takich, co sprzeciwili by się bezwzględnie wojnie "strzelającej"—ten kraj po napaści przez Japonię stanął jednomyślnie za prezydentem.

Przypomnijmy pokrótce etapy tej polityki. Z chwilą wybuchu wojny Stany żyły pod panowaniem *Neutrality Act*. Ustawa ta, spowodowana rewelacjami o roli, jaką odegrały interesy finansistów i przemysłowców amerykańskich, dostarczających broń Sprzymierzonym w pierwszej wojnie światowej—zakazywała sprzedaży czegokolwiek stronom wojującym.

Roosevelt nie żąda obalenia tego aktu. Żąda tylko maleńkiej poprawki. Mianowicie, żeby wolno było sprzedać broń tej stronie wojującej, która za nią zapłaci gotówką i zabierze własnymi okrętami. Duch ustawy pozostał niezmieniony, bo dostawca, któremu zapłacono nie ma już interesu, by jego klient wygrał, nie istnieje również powód do konfliktu, o ile broń ta będzie zatopiona na angielskim lub niemieckim statku. To, że wobec panowania Anglii na morzach Niemcy z ustawy tej nie mogły skorzystać, to był tak samo jak w sprawie okrętów abisyńskich przypadek, nie naruszający neutralności Stanów.

Jednocześnie w przemówieniach Roosevelt stale podkreślał, że wynik wojny nie jest obojętny dla Stanów ze względów ideologicznych, że on, prezydent jest przeciwnikiem tyranii hitlerowskiej,



Fotografia ofiarowana przez Prezydenta Stanów gen. Sikorskiemu. Dedykacja brzmi:

For H.E. General Władysław Sikorski, Premier Minister of Poland from his friend Franklin D. Roosevelt

że każdy dobry Amerykanin winien życzyć zwycięstwa Francji i Anglii.

Po upadku Francji ton przemówień Roosevelta się zmienia. Zaczyna już tłumaczyć narodowi, że to i losy Ameryki rozgrywają się w tej wojnie. Zaczyna przedkładać, że Hitler-zwycięzca nie zawaha się przed uderzeniem na Amerykę Południową, na same Stany. Zaczyna dowodzić, że pomoc dla Anglii jest nakazana nie przez względy ideologiczne, ale przez dobrze zrozumiany interes własny.

W tym okresie robi rzecz rewolucyjną dla polityki amerykańskiej. Wprowadza do gabinetu dwóch czołowych przedstawicieli partii przeciwnej — republikańskiej: Stimsona, który był ministrem spraw zagranicznych Hoovera, i pułkownika Knoxa, właściciela wielkiego anty-Rooseveltowskiego dziennika, "*Chicago Daily News*". I to właśnie ci dwaj republikanie, jako ministrowie wojny i marynarki, będą w swych przemówieniach najostrzej żądali pełnej pomocy dla Anglii, będą szli najdalej. Dzięki rozumowi Roosevelta sprawa wojny zostaje wyłączona z rozgrywek partyjnych.

Sam Roosevelt co raz jaśniej określa stanowisko Stanów: "Cywilizacja amerykańska — stwierdza—nigdy od czasów Jamestown i Plymouth Rock nie była w takim niebezpieczeństwie, jak obecnie . . . Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że my wszyscy na całym kontynencie amerykańskim żylibyśmy pod groźbą rewolweru, nabitego nabojami; groźba jest natury zarówno natury gospodarczej, jak wojskowej . . ." (pogadanka przy kominku 29 grudnia 1940).

Z równą siłą i dosadnością wyrażeń walczy wielki prezydent z pomysłami pokoju rokowanego, kupionego za cenę ustępstw dla Hitlera, za cenę Polski i Czechosłowacji. "Czy to jest pokój negocjowany—pyta—gdy banda opryszków otacza waszą społeczność i pod groźbą wycięcia w pień wymusza od was haracz?" "Zasady moralności i wzgląd na własne bezpieczeństwo nie pozwolą nam nigdy zgodzić się na pokój dyktowany przez napastników i patronowany przez uspakajaczy. Wiemy, że pokoju trwałego nie można kupić za cenę wolności innych ludów."

"*Nie pozwolą nam nigdy.*" Cóż to znaczy? Skądże państwo neutralne może się zgodzić lub nie zgodzić na warunki pokojowe między wojującymi? Tak, ale data tej mowy jest: 6 stycznia 1941. Naród amerykański powierzył już Rooseveltowi po raz trzeci kierownictwo na lat cztery i Roosevelt jest już bardziej swobodny. Mówi już jako człowiek będący w walce z Hitlerem i Mussolinim, Ameryka nie strzela jeszcze, ale wyraźnie już oświadcza, że zrobi co może, by przeszkodzić zwycięstwu totalizmów. Ameryka już nie jest neutralna.

I odtąd idą równolegle akty prawodawcze i środki, które Roosevelt może sam, jako prezydent i dowódca naczelny sił zbrojnych przedsięwziąć. Najważniejszym aktem prawodawczym jest *Lease and Lend Bill* (marzec 1941). Anglia nie miała już dolarów na kupowanie w Ameryce zgodnie z klauzulą *cash and carry* (t.zn. płać gotówką i zabieraj na własnych statkach). Dopływ broni amerykańskiej musiałby stanąć. Roosevelt zażądał więc od Kongresu, by Stany płaciły za broń i pożyczały ją Anglii. A o zwrocie i jego formie pomówi się—po wojnie.

Tygodniami trwała dyskusja nad projektem billu. Ludzie się niecierpliwili, pytali, dlaczego Roosevelt pozwala na obstrukcjonistyczne przemówienia. Był w tym jednak sens. Gdy w końcu Kongres uchwalił ustawę, nikt nie mógł powiedzieć, że nie była ona wyrazem woli Kongresu, nikt nie mógł powiedzieć, że to dyktator Roosevelt wciąga Stany w wojnę.

Nie tylko Anglia miała korzystać z tej ustawy. Miały z niej korzystać wszystkie narody walczące o wolność. Polska otrzymała na jej podstawie broń. Otrzymała Holandia i de Gaulle. I już w roku 1941 otrzymały Chiny. Bo dla Roosevelta walka Chin z Japonią była zawsze na tym samym planie co walka Europy z Hitlerem.

To są dobrodziejstwa *Lease and Lend Bill'u*. Roosevelt prezydent zaś oddaje Anglii 50 kontrtorpedowców wzamian za bazy morskie, każe wojskom dla bezpieczeństwa Ameryki zajmować duńską Grenlandię, by uprzedzić Hitlera, każe im luzować wojska brytyjskie w Islandii. Pomaga Anglii na morzu.

Kongres ciągle boi się wojny, naród amerykański chce "wszelkiej pomocy dla Anglii do wojny wyłącznie". Nie może więc Roosevelt prosić Kongresu, by statki wojenne amerykańskie konwojowały okręty z bronią i w ten sposób luzowały flotę angielską. Ale może jako naczelny wódz kazać im patrolować morza i komunikować Anglikom, gdzie są niemieckie okręty nawodne i podwodne.

Po zatopieniu statku Stanów na amerykańskiej części Atlantyku daje tym patrolom rozkaz "*shoot at sight*"—strzelania do niemieckich okrętów podwodnych, gdy tylko je ujrzą na wodach amerykańskich. Ile okrętów niemieckich zginęło w ten sposób nie wiadomo. Ameryka nie była oficjalnie w wojnie z Niemcami, więc tego nie ogłaszano. Ale zginęło ich dosyć!

I w tym czasie na Atlantyku Roosevelt z Churchillem razem układają kartę atlantycką. "Neutralna" Ameryka i wojująca Wielka Brytania razem ustalają, na jakich warunkach złożą broń. W tym czasie Roosevelt występuje też do Kongresu z żądaniem oficjalnego zniesienia całej ustawy o neutralności. W końcu roku 1941 Kongres taki akt uchwala.

Ale wojny Roosevelt nie wypowiada. Wie, że opinia publiczna wojny się jeszcze boi. Czeka na to, by jemu wojnę wypowiedziano.

I tak się stało. Długo trwają w grudniu rozmowy japońsko-amerykańskie w Waszyngtonie. Tokio, przygotowując napaść, próbuje jednak, czy nie da się zrobić wschodniego Monachium, czy nie uda się zahamować pomocy amerykańskiej dla Chin. Gdyby się udało, to na rozrachunek z Anglią i Ameryką można by poczekać, aż się Chiny opanuje w zupełności. Podobnie Hitler wolał strawić Polskę przed koniecznością rozprawy z Francją i Anglią i proponował pokój w listopadzie 1939, jak wolał strawić Europę przed rozprawą z Anglią i proponował pokój w lipcu 1940.

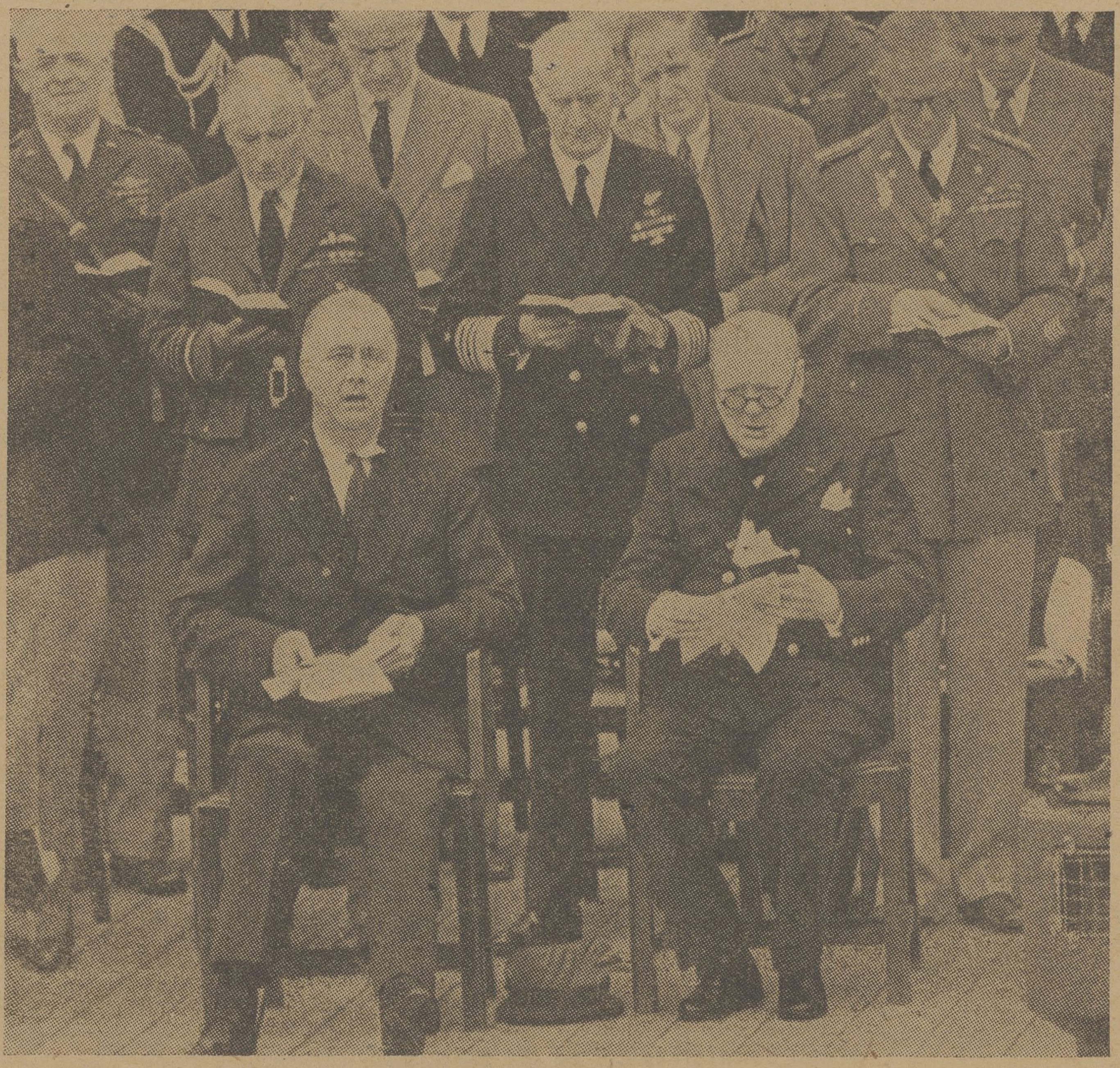
Ale Roosevelt to nie Chamberlain. Między warunkami unormowania stosunków amerykańsko-japońskich znalazło się żądanie wycofania wojsk japońskich z Chin, uznania rządu Cziang Kaj Szeka. Odpowiedź japońska nastąpiła błyskawicznie. Był nią atak na Pearl Harbour. A nazajutrz i Hitler i jego lokaje z Mussolinim na czele także wypowiedzieli wojnę Stanom.

Teraz Kongres jednomyślnie uchwalił wypowiedzenie wojny i przeciw Japonii i przeciw Niemcom i przeciw Włochom. Roosevelt zwyciężył. To nie on zmusił naród do wojny, to cały naród jednomyślnie wszedł do tej wojny. I nie złoży broni aż do zwycięstwa, do naszego wspólnego zwycięstwa.

Bo Roosevelt nie przestaje kierować narodem. Obawiał się, że Pearl Harbour i Filipiny przesłonią obywatelowi amerykańskiemu Europę, że zapomni, o co się walczy. Nieustannie więc przypomina mu teraz, że i dla Ameryki wrogiem nr.1 nie jest Japonia—z nią będzie rozprawić się łatwo, gdy Hitler upadnie—ale właśnie Niemcy i Hitler, że walka idzie przede wszystkim o złamanie potęgi niemieckiej.

I dlatego właśnie w chwili, gdy Ameryka walczy o własne życie, gdy już i San Francisco i Hollywood są objęte *black-out'em*, bo grozi im nalot japoński—Roosevelt posyła słowa otuchy i pamięci Polsce, tej Polsce, która pierwsza podjęła walkę z Hitlerem.

CZESŁAW POZNAŃSKI



Roosevelt i Churchill w czasie nabożeństwa na pancerniku "Prince of Wales," na którym ustalono zasady t.zw. karty atlantyckiej

---

* Por nr. 6 i 7 "Polski Walczącej" z b.r. Niniejszy artykuł zamyka cykl.

Myśli o wojnie

POLITYKA I STRATEGIA

W książce "*Krieg und Politik*" (Wojna i polityka) Ludendorff podkreśla ścisły związek pomiędzy polityką i strategią: zadaniem polityki jest wytworzenie przed wojną lub nawet w czasie jej trwania warunków korzystnych dla własnej strategii. Te warunki mogą być wytworzone bądź przez stworzenie odpowiednich koalicji lub sojuszów i niedopuszczenie do stworzenia się koalicji po stronie przeciwnika. Rozwiązaniem idealnym jest oczywiście zupełne polityczne odosobnienie przeciwnika.

Te prawdy zostały też sformułowane przez jednego z najwybitniejszych pisarzy niemieckich, gen. Kabischa, b. szefa sztabu księcia Ruprechta Bawarskiego w książce *Niederlage des deutschen Durchbruchs im Jahre* 1918" (Załamanie się niemieckiego ataku w roku 1918) oraz w opracowanym przez niego poufnym memorandum, złożonym pierwszemu rządowi Republiki Weimarskiej o przyczynach przegranej wojny. W tym memorandum Kabisch podkreślił przede wszystkim momenty natury politycznej, a mianowicie powstanie po stronie przeciwnej potężnego przymierza wzmocnionego przez Amerykę, której wejście do wojny rozstrzygnęło o jej wyniku. Z momentów natury strategicznej podkreślił on całe niebezpieczeństwo wojny dwufrontowej dla Niemiec.

Interesujące jest, że właśnie wychodząc z tych przesłanek, wielu niemieckich pisarzy wojskowych poddało krytyce plan Schlieffena wojny z Francją, przewidujący manewr przez Belgię. Plan ten, genialny z punktu widzenia czystej strategii—z punktu widzenia następstw politycznych, jakim było wejście W. Brytanii do wojny w obronie pogwałconej neutralności Belgii—był strategiczną utopią.

Z całego przebiegu rozgrywki dyplomatycznej prowadzonej przez Niemcy przed wybuchem obecnej wojny, z rozgrywki, z którą współgrała propaganda, będąca, podobnie jak i polityka, jedynie narzędziem strategii w wielkim stylu—widać było, jak gorliwie Niemcy zużytkowali bolesne doświadczenia przegranej wojny.

Prowadząc zręczną grę polityczną doprowadzili oni Czechosłowację, w momencie kryzysu sudeckiego, pomimo to, że posiadała liczne sojusze, do politycznego odosobnienia. Podobnie rzecz się miała poprzednio z Austrią. Zawierając pakt ze Stalinem Niemcy uzyskały dla siebie olbrzymie korzyści strategiczne, a mianowicie pozbyły się koszmaru wojny dwufrontowej. Kampania polska, jakkolwiek była krwawa dla Niemców, w planach niemieckich stanowiła jedynie epizod, który nie mógł zbyt długo związać sił niemieckich na wschodzie. Pogląd ten został wyrażony zupełnie kategorycznie przez Szefa Sztabu Reichswehry, gen. Haldera latem 1939 w poufnym odczycie w *Kriegsakademie* na temat przyszłej kampanii w Polsce. . .

Wreszcie propaganda niemiecka, będąca, podkreślam, narzędziem wielkiej strategii niemieckiej, przyczyniła się do moralnego i faktycznego rozbrojenia Ameryki, bowiem wejście Stanów Zjednoczonych do wojny nie leżało w planach niemieckiego Sztabu Generalnego. Obecnie, gdy się to stało, propaganda niemiecka usiłuje wszelkimi sposobami wzniecić ruch antybrytyjski w Indiach i wśród narodów arabskich oraz w Ameryce Południowej.

W świetle tych rozważań o strategii sojuszów jasne staje się wystąpienie Japonii, które nastąpiło w momencie największego impasu, w jaki weszła strategia niemiecka, w wyniku załamania się własnej ofensywy w Rosji, powodzenia ofensywy brytyjskiej w Libii i pogarszającej się sytuacji wewnętrzno-politycznej w całej podbitej Europie.

Otwarta pozostaje sprawa, którą można będzie wyjaśnić dopiero po wojnie, dlaczego uderzenie japońskie nastąpiło nie na Rosję, związaną w ciężkiej walce z Niemcami, lecz na W. Brytanię i Stany Zjednoczone. Być może zadecydowały tu względy strategii morskiej, które, jak można wnioskować z dotychczasowych wyników, nie były pozbawione słuszności.

W świetle tych ogólnych myśli o wojnie, warto rzucić okiem na istniejące fronty, na przebieg działań wojennych, które przybierają wciąż na natężeniu.

FRONT SOWIECKI

Cechą charakterystyczną ostatnich działań na froncie sowieckim jest sztywnienie oporu niemieckiego. Odnosi się wrażenie, że dowództwo niemieckie opanowało do pewnego stopnia załamanie moralne, spowodowane niespodziewaną i skuteczną kontrofensywą sowiecką. Widać to z co raz bardziej zaciętych walk niemieckich straży tylnych o poszczególne miejscowości, które jak np. Możajsk przechodziły niejednokrotnie z rąk do rąk.

Należy stwierdzić, że odwrót niemiecki daleki jest od tego, by go można było porównywać z odwrotem Napoleona, a również zapowiadany przez niektórych publicystów "bunt generałów" należy na razie uważać, niestety, za pobożne życzenie . . .

Ponadto, o ile poprzednio piechota niemiecka nie wytrzymywała moralnie obecności oddziałów sowieckich na swoich tyłach, obecnie linia frontu ma na kilku odcinkach z punktu widzenia strategii klasycznej, wskutek głębokich worków, ukształtowanie zupełnie absurdalne, np. w rejonie dawno przeskrzydlonego Rżewa lub Taganroga. W wyniku sztywniejącego oporu niemieckiego, manewr sowiecki zarówno w ogólnym kierunku na Smoleńsk, jak również i napór na Taganrog i Charków, rozwija się o wiele powolniej, aniżeli w grudniu lub nawet w pierwszej połowie stycznia. Niemcy mają do zanotowania duży sukces: zlikwidowanie bardzo śmiałej i groźnej w razie powodzenia, sowieckiej operacji desantowej na Krymie.

Oceniając ostatnie działania obu stron, można dojść do wniosku, że moment zaskoczenia Niemców zarówno taktycznego, jak i strategicznego już minął. Taktycznie Niemcy stosują już metodę uporczywego trzymania zorganizowanych obronnie nawet najmniejszych miejscowości. Strategicznie, na skutek mniejszego tempa naporu sowieckiego odzyskują powoli swobodę rozporządzania odwodami.

Jeżeli idzie o wojska sowieckie, to taktycznie—stosują one niezwykle korzystny sposób przeskrzydlania i omijania bronionych miejscowości, przenikając możliwie jak najdalej w głąb ugrupowania niemieckiego. Strategicznie—prowadzą one nadal trzy rozpoczęte manewry, które, jak można wnioskować, stanowią: (1) dążenie do likwidacji oblężenia Leningradu i odepchnięcie armii Leeba do Estonii; (2) na odcinku centralnym zamknięcie się obu ramion kleszczy nastawionych na Smoleńsk lub Witebsk i (3) na południu, osiągnięcie linii Dniepru, z usiłowaniem, o ile to możliwe, zniszczenia wojsk niemieckich w rejonie Taganroga i na Krymie.

Z punktu widzenia planów niemieckich, a mianowicie przyszłej ofensywy wiosennej, z którą należy się poważnie liczyć nawet odwrót z pod Leningradu, bądź też oddanie Smoleńska a nawet i Witebska—poza oczywiście pewnym małym wstrząsem moralnym w Niemczech, złagodzonym sukcesami Japończyków i Rommla, i kłopotami w związku z koniecznością wycofywania składów i magazynów—nie są zbyt groźne. Natomiast ewentualne powodzenia Timoszenki na froncie południowym, który posuwa się w kierunku Dniepropietrowska mogą mieć daleko idące następstwa wojskowo-polityczne.

Nie ulega już żadnej wątpliwości, że z chwilą rozpoczęcia niemieckiej ofensywy wiosennej, główny wysiłek tym razem od samego początku skieruje się na front południowy. Było by oczywiście zupełnym nonsensem bawić się w przewidywania, czy i kiedy Niemcy zajmą Kaukaz lub Moskwę. Należy jedynie stwierdzić, że niewątpliwie kierunek na Kaukaz w planach niemieckich zajmuje główne miejsce.

Z tego powodu ewentualne sukcesy sowieckie na południu oznaczać mogą odsunięcie na zachód przyszłej niemieckiej podstawy wyjściowej do zapowiadanej z takim hałasem przez niemiecką propagandę ofensywy wiosennej.

FRONT LIBIJSKI

W poprzednim komentarzu sytuacji wojennej w nr. 4 "Polski Walczącej", zajmując się tym frontem stwierdziłem, że "o ile Rommel nie otrzyma w najbliższym czasie posiłków, likwidacja jego będzie tylko sprawą czasu." Otóż, niestety w międzyczasie Rommel, z którego, wedle wyrażenia jednego z publicystów polskich "poszły drzazgi", te posiłki otrzymał i to w ilościach tak znacznych, że pozwoliło mu to na przejście do kontrofensywy. Sprawa zasilania Rommla, naprzekór silnej blokadzie brytyjskiej, ma nie tylko sens wojskowy, ale i polityczny, gdyż wchodzi tu w grę postawa rządu Vichy, który jak stwierdzono, umożliwiał dostarczenie Niemcom pomocy materialnej przez Tunis.

Jeszcze jedną przyczyną ponownego zebrania się na siłach było świetne funkcjonowanie polowych warsztatów reperacyjnych Rommla. Potrafiły one w ciągu dwu tygodni t.j. od chwili zatrzymania się Niemców 7 stycznia w rejonie El Agheili aż do 21 stycznia doprowadzić mocno zużyty sprzęt do porządku.

Wojska niemieckie posuwając się trzema kolumnami i wymanewrowując lekkie jednostki pancerne brytyjskie, już 26 stycznia zajęły Benghazi i prą dalej przez Dernę w kierunku na Tobruk. Intensywna działalność brytyjskiego lotnictwa, bombardującego i ostrzeliwującego w ciągu paru dni niemieckie kolumny pancerne nie była w stanie powstrzymać ich ruchu.

Co się tyczy oporu sprzymierzonych sił lądowych, to czołgi angielskie i amerykańskie na skutek ich słabszego uzbrojenia nie były zdolne do zatrzymania Rommla. Wedle wskazań twórcy idei wielkich jednostek pancernych, gen. Fullera (wyrażonych między innymi w jego książce: "*The Modern Warfare*" (Nowoczesna gospodarka wojenna), streszczonej przeze mnie jeszcze w r. 1938 dla "Przeglądu Wojskowego" . . .) dywizja pancerna powinna składać się z czołgów kalibru o dużej wadze i bardzo silnym uzbrojeniu; w skład jej miały wchodzić też i działa na lawetach zmechanizowanych. Niestety te przewidujące wskazania gen. Fullera znalazły bardziej wdzięczne echo po stronie przeciwnej, niż u jego rodaków.

W pierwszych dniach lutego kolumny pancerne Rommla zatrzymały się na parę dni w rejonie Mekkili na zachód od Gazali. Zatrzymanie to, zresztą bardzo cenne dla gen. Auchinlecka, daje Rommlowi możność dokonania niezbędnych reperacji swojego sprzętu a ponadto, jak wynika z komunikatów, rozpoczęcia ruchu oskrzydlającego od południa. Niewątpliwie zatrzymanie Rommla jest jedynie przejściowe, gdyż działania w Libii, będące klasycznym przykładem najbardziej nowoczesnej doktryny, wyłączają wszelkie momenty statyczne.

Wobec nieustannego wzmacniania sił VIII armii, należy sądzić, że w najbliższym czasie działania na froncie libijskim przybiorą charakter bardziej intensywny. Wobec co raz większej koncentracji *Luftwaffe* na Sycylii i w Grecji, kontrofensywa Rommla przestaje już być operacją samodzielną. Należy ją rozpatrywać jako fragment wielkiego planu, którego inne elementy zapewne wejdą niebawem w grę.

DALEKI WSCHÓD

Blitzkrieg japoński nie stracił na nasileniu ani napięciu. Japończycy wykorzystują jak dotąd w całej pełni sukces początkowy, uzyskany w głównej mierze przez zaskoczenie.

Dzięki panowaniu na morzu, są oni w stanie nie tylko prowadzić dwie duże samodzielne operacje lądowe: na Singapore i na Burmę, ale jednocześnie dokonują całego szeregu operacji desantowych, wymagających ścisłego współdziałania marynarki, lotnictwa i wojsk lądowych.

Jeżeli idzie o operacje desantowe, to najgorzej rozwijają się prowadzone bardzo dużymi siłami działania na wyspie Luzon, gdzie bohaterski opór gen. Mac Arthura będzie jedną z wspaniałych kart historii obecnej wojny. Wiąże on od szeregu tygodni znaczne siły japońskie, które skutkiem tego nie mogą być użyte na innych frontach.

W obecnej chwili Japończycy opanowali już wyspę Borneo, Celebes, bazę w Amboina, część wysp archipelagu Bismarcka z portem Rabaul i zagrażają poważnie Jawie, na której w Surabaya znajduje się główna holenderska baza morska. Opanowanie bazy Amboina i usadowienie się na wyspach archipelagu Bismarcka przybliża niebezpieczeństwo inwazji japońskiej do brzegów Australii.

Oczywiście te powodzenia japońskie nie zostały osiągnięte zupełnie gładko. W końcu stycznia, gdy flota japońska, eskortująca liczne transportowce znalazła się w przesmykach Macassar, pomiędzy Borneo i Celebes — została zaatakowana przez połączone siły holendersko-amerykańskie. W wyniku tej bitwy poniosła ona ogromne straty w ilości 29 okrętów i 16 samolotów. Niestety, to zwycięstwo na miarę Taranto lub Matapan nie było w stanie powstrzymać japońskiej operacji desantowej na Borneo w rejonie Balik Papan.

Nie mniej poważnie przedstawia się obecnie sytuacja na lądzie. Spychając nieustannie przeważającymi siłami wojska brytyjskie na południe, Japończycy do końca stycznia opanowali całkowicie Półwysep Malajski. 1-go lutego, po wysadzeniu przez Anglików wielkiej grobli łączącej półwysep z wyspą, na której znajduje się Singapore, rozpoczęło się oblężenie tej bazy brytyjskiej na Dalekim Wschodzie.

Niestety, już 9-go lutego, po parodniowym przygotowaniu artyleryjskim i bombardowaniu lotniczym, w którym poważną rolę odegrały japońskie bombowce nurkowe, wojska Mikada zdołały wedrzeć się na zachodni brzeg wyspy. Jednocześnie rozpoczęło się na wielką skalę forsowanie przeprawy w rejonie grobli, która została naprawiona przez saperów japońskich. Wojska brytyjskie pod naporem przeważających sił zostały zmuszone do wycofania się na południe w kierunku samego miasta Singapore.

Ze względu na dużą przewagę Japończyków zarówno na lądzie a szczególnie w powietrzu (pochodzi to stąd, że myśliwce brytyjskie działające z lotnisk na Jawie mają tylko ograniczony zasięg)—na dalszy przebieg walk o Singapore trzeba się było od pewnego czasu zapatrywać z dużym pesymizmem.

Znaczenie Singapore dla Sprzymierzonych wykazuje cytata z najpoważniejszego pisma angielskiego "*Times*" z 8 grudnia 1941: "W razie upadku Singapore, ani angielska ani amerykańska flota nie będą mogły działać na Zachodnim Pacyfiku, na skutek braku bazy morskiej. Indie, Australia, Indie Holenderskie staną otworem dla najeźdźcy. Od upadku Singapore zależą losy kontynentów."

Powagę powyższego poglądu powiększa fakt niedawnych prób opanowania przez Japończyków głównej bazy holenderskiej Surabaya na Jawie. Pozostaje oczekiwać na zapowiadaną przez gen. Wavella pomoc, która może przyjść przede wszystkim od floty i lotnictwa amerykańskiego.

Sytuacja w Burmie, po zdobyciu przez Japończyków Mulmein w zatoce Martaban, uległa pewnemu ustaleniu na rzece Salween. Przypisać to należy do pewnego stopnia posiłkom chińskim, które przybywają nieustannie drogą burmańską z Chin.

Rozumiejąc niebezpieczeństwo, jakim by groziło zdobycie Rangoonu i zamknięcie tym samym dowozu materiału wojennego dla Chin sam marszałek Czang Kai Szek przybył samolotem do Indii dla uzgodnienia wspólnej akcji na froncie Burmy. W tym wypadku grać będzie, omawiana na wstępie strategia sojuszów i po stronie Sprzymierzonych.

CZYNNIK CZASU

Kończąc przegląd sytuacji wojennej należy podkreślić, że obie strony walczą o czas. Jest on, należy to stwierdzić, po stronie naszych Sprzymierzeńców i jest wrogiem państw "Osi," które muszą się śpieszyć za wszelką cenę, aby wykorzystać impet powodzeń japońskich i niezupełną gotowość Stanów Zjednoczonych.

Dlatego też w roku bieżącym będziemy świadkami najostrzejszego nasilenia wojny. Zarówno Niemcy, jak i Japonia będą dążyły bez względu na straty do wywalczenia jeszcze w tym roku sukcesów rozstrzygających. Zdają one sobie bowiem sprawę, że już w końcu tego roku, nie mówiąc już o 1943 roku, gdy cała potęga Stanów Zjednoczonych wejdzie do gry—nic ich nie uratuje od klęski.

EUGENIUSZ HINTERHOFF

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1.II.—10.II.1942.

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 0	Łączna ilość samolotów biorących udział w wyprawach: 32 Główne cele: Brest, Bremen
Razem od czasu przybycia do Anglii do 10.II.1942.	
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 421	Łączna ilość samolotów: 1748

W poprzedniej dekadzie strzelec bombowca zestrzelił jednego Messerschmidta 110.

Z obozów zesłania do szeregów żołnierskich: Armia Polska w Z.S.R.R.

Zachęceni powodzeniem "kolumny libijskiej" /"Polska Walcząca" nr. 4 z b.r./ zestawiliśmy w podobny sposób materiał dotyczący naszych kolegów w Rosji. Tak samo, jak tam, nie mówi tu nikt o nich, ani za nich, ale mówią oni sami za siebie, sami o sobie. Wszystkie artykuły na tych dwu stronach pochodzą z pism żołnierskich, nieraz z gazetek ściennych, "drukowanych" /piórem i atramentem/ w dwu, trzech egzemplarzach. Wszystko tutaj—aż do końcowego apelu, który pośrednio zwraca się i do nas—stanowi autentyczny wyraz tego, co myślą i czują żołnierze polscy w Rosji.

Red.

Ze wspomnień "obozowicza"



Tak się je, gdy stoły użyto na budowę i opał

Piękny dzień sierpniowy. Gdyby nie komary, największa plaga "egipska," wobec której prześladowania innych insektów są "rozkoszą," można by nawet przesadzić, że było przyjemnie. Myśli niestety były mniej przyjemne. Radość po dniu ogłoszenia zwolnienia dawno już minęła.

Kochany doktór Wróblewski uspakajał jak mógł pesymistów, ale "czarne kruki" robiły swoje.

—Trzy tygodnie po pakcie, a tu nic nie słychać.

—Zapomnieli o nas.

—Z tego "miłego" zakątka nie wydostaniesz się.

Nic nie wróżyło szybkiej zmiany. Szczery, na pół dziki Czeczeniec, który stał zwykle u wrót "raju," przez które wypuszczano nas na roboty, pokpiwał sobie, żartował po swojemu i chichotał "skoro pojdiosz na wolu," serce ściskało się żalem. Przed nami olbrzymie lasy—bezkresna tajga.

Idąc do pracy, śniłem na jawie. To była nasza specjalność. Marzenia, a raczej majaczenia . . . Dziś kupowałem kilo prawdziwych śliwek węgierskich . . . Rzeczywistość była zbyt ciężka, zbyt beznadziejna.

Korzystając z tego, że do pracy szliśmy bez konwoju, zapuściliśmy się w las na jagody. Dziś "wiemi" nie będzie—oświadczył mój nowokreowany "naparnik." Zbieraliśmy zawzięcie jagody, omijając "wałożniki," to jest drzewa wywrócone przez burze.

—No i jak myślisz, będzie co z tego?

—Napewno. Może potrwa jeszcze, ale wyjdziemy. Umowa jest umową. Siedzimy w zapadłej dziurze, może poczta jeszcze nie nadeszła, są przeszkody techniczne.

—Daj Boże jak najprędzej, bo nerwy nie wytrzymują.

Słońce grzało, zdjęliśmy fufajki i pracowaliśmy dalej . . . przy jagodach. Fajrant. Nagle grom z jasnego nieba, jak z pod ziemi wyrósł "rukrab."

—Pokażcie coście dziś nakosili.

Zrobiło nam się dosyć głupio, ale mój towarzysz nie stracił rezonu.

—"Grażdanin" — powiada — "my skoro pojdiom domoj, nie ochota rabotat."

—"Bałtun, bałtun j . . . /tu nastąpiła seria słówek z narodowego repertuaru/. A poka pojdiosz w izolator."—Rukrab poszedł.

—Masz tobie wolność, a niechże to—kolega klął na czym świat stoi.

Do baraku wracaliśmy brzegiem rzeczki. Z daleka oczom naszym ukazał się dziwny obrazek. Naprzeciw nas w szalonych skokach pędził Umański. Rzucił się na nas i obsypał /tfuj/ gradem pocałunków. Biedaku, uspokój się. Poważny chłop, "pater familias," a gdyby cię żona tak zobaczyła. Ten zamiast odpowiedzi staje wyprostowany jak struna i woła:

—"Baczność! W prawo patrz. Niech żyje Generał Sikorski!"

Zrozumieliśmy. Jeszcze tego samego dnia nastąpiło znane nam "sobirajsia z wieszczami." Tym razem na zawsze.

/"W marszu," nr. 2/

JAN SIWECKI

Jest mi zimno i źle

Pada śnieg na niezamarzłą ziemie. Pod cienką jego powłoką leży rzadkie błoto. I woda, woda i błoto przedostaje się przez podarte trzewiki, powiązane sznurkami, drutem, bez podeszew. Woda i błoto przy pierwszym kroku oblepiają podarte, dawno niezmieniane onuce, mrożąc ciągle mokre stopy. Zimno przenika wyżej na zdrętwiałe nogi, odziane w spodnie. Cienkie, letnie, obozowe, pełne łat i dziur. Chłód sunie wyżej pod porwaną fufajkę, przemoczoną w czasie wczorajszej pracy. Fufajka zastępuje i mundur i płaszcz. Przetarta wata nasiąka tak szybko wodą, że trudno ją potem wysuszyć. Zresztą nie ma gdzie.

Namiot cienki, chłodny, przesiąknięty wilgocią. W wydeptanym i zagłębionym przejściu pomiędzy pryczami zbiera się woda, zmieszana z przyniesionym błotem. Namiot przecieka.

Z piętnastu przemoczonych ubrań moknie wilgotna już cienka warstwa słomy w sienniku. Moknie koc — jedyna ochrona przed przenikliwym chłodem nocy. Długa noc. Już od siódmej zimno. Wieczorem na kolację dają tylko herbatę. Chleb idzie na obiad.

W namiocie wcześnie zalega ciemność. Kładziemy się—szczelnie jeden obok drugiego na pryczy. Zmoczone łachy rzuca się na nogi. Tak cieplej i lepiej. Pewnie zaraz przejdą dreszcze i ciepło przywoła sen, myśli pracują szybko i ostro.

Jest zimno. Tak, zimno i źle. Psiakrew! Jutro będzie tak samo jak dziś, człowiek się męczy. Nie wytrzymam chyba. Nie ma widoków poprawy. Bo i skąd. Nic się nie zmieni. Będzie jeszcze zimniej i jeszcze gorzej. Przyjdą mrozy. Nie wytrzymam. Już i tak mam odmrożone palce z zeszłej zimy . . .

Zeszła zima. Wyszedłem i tak lepiej, niż Józek, Franek, Władek i wielu innych. Szkoda. Dobre były chłopy. Skończyli się. Zabiła ich północ. I nie ich jednych. Tam to było piekło.

Wywinąłem się. O miesiąc wcześniejsza zima. Oj, rąbałoby się lodem ziemię zmarzłą. . . Gdyby nie polska armia . . . armia polska!

—Te, co się pchasz na mój siennik, cwaniak! Zimno ci, to se piecyk do pleców przywiąż.

Psiakrew! Natłoczyli do namiotów po piętnastu, jak bydło. Ani się obrócić, ani położyć. Siedzimy jak . . . wtenczas w czasie transportu. No. . . tam było gorzej. Bagnety, kraty, kłódki, bez wody i 100 gramów sucharów. Teraz 750. Siedm i pół raza więcej.

—Te, mówię ci, odsuń się.

Jak bydło natłoczyli. Jak na dworcach. Leżą teraz ludziska na kamieniach, pokotem, bez jedzenia. Tłumy mokną. Jeżdżą. Nikt nie wie dokąd. I ja bym tak jeździł. I nocowałbym na kamieniach. Ale mam szczęście. Żołnierz jestem. Polski żołnierz.

Znowu kapnęło na nos. Ale tam też im kapnie. Tam też Polacy. Kobiety. Dzieci.

Dzieci . . . najgorzej jest dzieciom. Jeszcze w Polsce. Źle i ciężko. Sto razy gorzej, niż nam. Gorzej cholera. Nawet namiotu pewnie nie mają jak ja. Brak chleba i jedzenia. A u nas zawsze gorące. No i niezłe. Wystarcza. Karabiny są. Tylko, żeby się z tego "zapasowego" wyrwać. Do wojny . . .

Wojna . . . Szwaby się pchają. Ale i bolszewicy pchają wojsko. Dają szwabom bobu. Idzie ruch. Pociągów masa. Tory zapchane. Pewnie dlatego i nasze mundury idą tak wolno. Dlatego chyba.

Mundury . . . Ależ się będą za nami oglądać. Orły błyszczą. Spodnie długie. Frencze, ciepłe płaszcze. Mocne buty—żółte. Pasy nowe. Broń. Jak wyjdzie cała kompania, będzie na co patrzeć. Każdy jak oficer. A oficerowie jak generałowie.

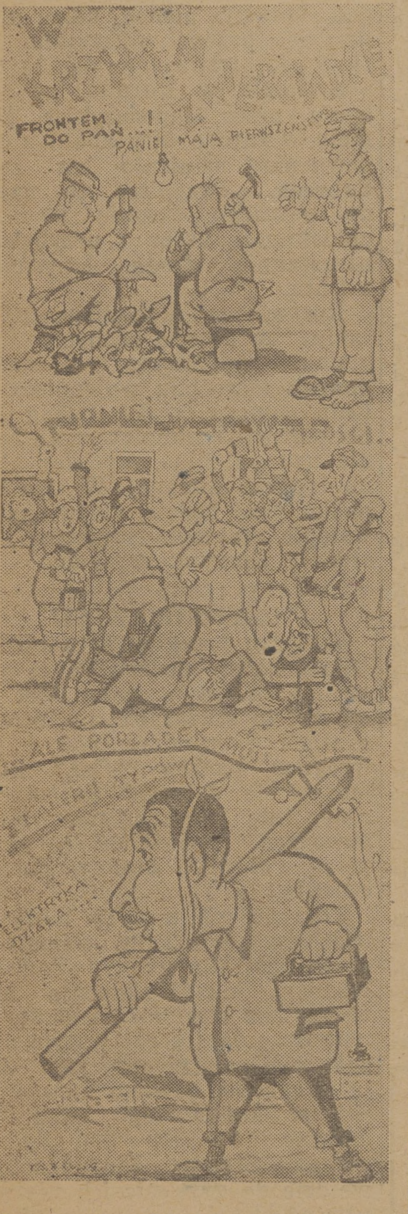
A nasz generał morowy chłop. Bojowiec. Był u nas w namiocie. Swój chłop. Machorkę skręcił z mojej paczki. Machorka mu pewnie szkodzi. Źle wygląda. Pracuje za dużo. Dla nas. Stara się. O nas.

Mówił: pomagajcie mi, chłopcy. Jesteśmy w marszu. Do Polski. Ciężko jest i źle. Ale musimy przetrwać. Zimno jest, ale się zakopiemy w ziemię. Jak te krety. Musimy przetrwać albo zdychać, ale razem. Tak mówił, a potem znowu . . .

—Te Franek! Do wielkiej Anielki. Co ściągasz ze mnie płaszcz. Zimno ci? Ancymonek! Do Polski chce iść, a jęczy jak stara baba. A jakeś był na karczunku, to ci było lepiej? Co tam narzekasz? Toś ty taki żołnierz, polski do tego? A wiesz jak kobiety marzną? Co byś chciał? Ty se myślisz, żeś u baby w Polsce? Nie bój się, wytrzymałeś, brachu, te dwa lata wytrzymasz, jeszcze! Niech będzie i źle i zimno ależ, brachu, w swoim wojsku i szlus. Zapomniałeś, jak stary mówił? W ziemię się zakopiemy, ale wytrzymamy. Wytrzymasz i ty. Ja ci mówię. Śpij! Bo o szóstej pobudka. A tam napewno stary o nas myśli.

("W marszu" nr. 4.)

TADEUSZ J. BULSIEWICZ



Strona gazetki ściennej Ośrodka nr. 1 w Buzułuku, pisanej i zdobionej odręcznie



Żołnierze Baonu "Dzieci Lwowskich" wracają do szeregów



Świeżo przybyli do zimowego obozu wojskowego

Podsłuchane

—Idzie trzeci rok. Dwa lata zmarnowaliśmy. Niczegośmy się nie dowiedzieli i nie nauczyli. Inni żyli przyjemniej i łatwiej.

—Nie zgodzę się z tobą. Ten czas nie jest zmarnowany. Nauczyliśmy się bardzo wiele. Nauczyliśmy się cenić wolność, której często nadużywaliśmy, nauczyliśmy się poważniej patrzeć na świat, który dla wielu z nas wydawał się zbyt beztroski. Pewne zagadnienia ujmujemy głębiej. Jesteśmy bardziej dojrzali społecznie i duchowo.

—To według ciebie coś jakby "kąpiel uszlachetniająca."

—Tak jest. Człowiek, którego charakter wykuwa się w cierpieniach, jest bardziej wartościowy, zahartowany. Myśmy nie dali się złamać ani zniszczyć! To jest nasza wyższość i nasza duma! Polskość—jej odrębność narodowa i kulturalna—jest niezniszczalna i —przepraszam cię za patos—nieśmiertelna!

JÓZEF FRYD



Toaleta poranna

Prawda w oczy

Formujemy się w wyjątkowych warunkach. Pożoga wojny ogarnia cały świat, w zażartym ogniu bitewnym pali się zachodnia granica. Nasz Rząd prowadzi upartą politykę, dążąc do Wolnej, Niepodległej, Sprawiedliwej i Demokratycznej Polski, a armia nasza, sprzymierzona z potężnymi sojusznikami, toczy walkę na śmierć i życie.

Wypadki rozwijają się z dnia na dzień, z godziny na godzinę i z godziny na godzinę słabnie rozpęd hitlerowski, a wzrasta szał jego propagandy, zaślepienia i zemsty, któremu się przeciwstawia spokój i rozwaga wszystkich sprzymierzeńców.

Nasza siła leży w stanowczej polityce międzynarodowej i w sile bojowej; politykę prowadzi nasz Rząd, a siła bojowa—to my!!! Ten fakt nakłada na nas wielki obowiązek: nie wolno nam zapominać, że Rząd Polski zrobił w stosunku do nas bardzo dużo, bo dał nam wolność i broń—my ze swej strony musimy wypełnić swój żołnierski obowiązek. Tę prawdę wypisaliśmy w naszych mózgach i musimy ją sobie mówić w oczy, jest to prawda tak prosta, jak proste jest nasze życie.

Siła bojowa!—wspaniałe słowo, które przekuwamy w czyn swoim codziennym wysiłkiem. Kują ją nasze nogi. I nikt nie ma prawa powiedzieć, że drogi nasze łatwe i wygodne, lecz i nikt z nas nie może się rozczulać nad tym, że woda cieknie do namiotu, a błoto włazi w dziurawe podeszwy.

...Budowaliśmy Polskę od 1914 roku. Nasz trud kładł się pod jej podwaliny. Gdy biły "grube Berty" — nosiliśmy stare "Werndle," a siodła mieliśmy na plecach. Polska była marzeniem! Dziś jesteśmy razem, mamy sojuszników i dobrą broń. Wiemy dokąd idziemy, wiemy, za co będziemy się bić i mamy rozległe doświadczenie życiowe.

Pożoga wojny ogarnia cały świat, trwa walka z Niemcami, nasz Rząd prowadzi stanowczą politykę, opartą o nasze karabiny i armaty. Siła zbrojna—to my, to nasze życiowe doświadczenie, nasza cierpliwość i moc trwania. I o tym musimy pamiętać nie "kiedyś," jutro, czy za miesiąc, na froncie i w bitwie, ale dzisiaj, codziennie, bo naszą jedyną legitymacją jest tylko karabin.

/"W marszu," nr. 3/

STANISŁAW MICHUŁKA

SEN O KARABINIE

Żołnierz zwie cię kochanką, regulamin—bronią,
Śmiercionośny-ś, gdy strzelec dotyka cię dłonią,
Ty państwa i narodu gruntujesz potęgę,
Ty bagnetem historii zapisujesz księgę.

Gdyśmy stali na straży u Ojczyzny proga,
Przyciskałem cię czule do swego ramienia,
Bladła śmiałość chciwego naszej ziemi wroga,
Lud po pracy spokojnie sypiał w twoim cieniu.

A gdym w Święto Wolności na wielkiej paradzie
Przed Orłami i Wodzem prezentował broń—
Czułem, jak się dokoła świat w pokorze kładzie
I jak dumą zakwita na żołnierska skroń.—

Niezbadana jest wola i wyroki Boga.
O, jakież słowa wyrazić są w stanie
Mękę duszy żołnierza, gdy pod stopy wroga
Trzeba złożyć karabin—gdy przyjdzie rozstanie .

Gdym cię utracił w owym dniu wrześniowym—
Spadłem w otchłań niewoli, na dno poniżenia,
Przez dwa długie lata wlokłem te okowy
Bez Ojczyzny, bez jutra i kresu cierpienia.

I tylko serce w piersi niespokojnie biło,
Kiedy wzrok po bagnetach konwoju opłynie,
Wtenczas to zrozumiałem, jaką jesteś siłą!
I śniłem, śniłem—jeniec—sen o karabinie.

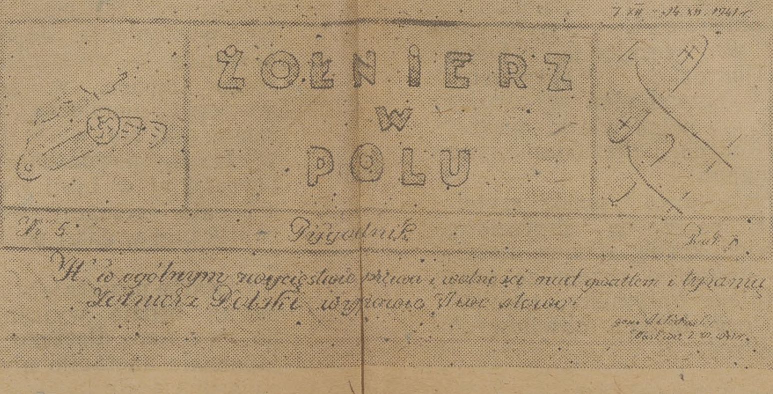
Aż sen się oblókł w jawę: oto palec boży
Dźwignął mnie, jak Łazarza, i w rękę broń włoży
Porwałem cię, kochanko, ze czcią, z serca biciem!
Już cię nie porzucę! Chyba . . . jeno z życiem!

WIKTOR ZWOLIŃSKI

Panu Generałowi Dywizji Władysławowi Andersowi z okazji zaszczytnej dla nas wizyty w obozie 5 Dywizji Piechoty

poświęcam

Tatiszczewo, 28.10.1941



Nagłówek jednego z pism obozowych, pisanego atramentem i zdobionego ręcznie farbami wodnymi

W Piątej Dywizji

Przegląd. Na ogromnym polu w żelazny czworobok zastygłe szeregi! Na maszt powoli wpływa czerwono-biała chorągiew, a wiatr niesie dźwięki pieśni o Tej, co nie zginęła, póki my żyjemy.

Dowódca, generał Boruta, melduje Naczelnemu Wodzowi o swej dywizji. W jej imieniu wita wskrzesiciela Armii Polskiej i Gościa tak upragnionego. Padają krótkie, urywane zdania. Proste jak życie żołnierza i jak serce jego szczere. Mówi generał Boruta o doli i niedoli swej dywizji, jak powstawała, jak pracowała, jak wreszcie stała się tym, czym jest teraz. Mówi o swoich "chłopcach," powołuje się na nich, niejako na świadków bierze, przypomina jak to było. Stanowią jedną wielką rodzinę: ten słuchający z zapartym oddechem ogromny czworokąt i on—ich dowódca.

Naczelny Wódz słucha prostego żołnierskiego opowiadania: jak żyli, jak pracowali, jak—nie mając jeszcze koni—własnymi rękami otrzymane działa przyciągnęli, jak chodzili po drzewo w straszny mróz i nieśli to drzewo na opał, na budynki—przez wiele, wiele kilometrów—wszyscy: i generał i oficerowie i żołnierze. I jak żyją, według słów generała Boruty "kupą," jak poczuli się jedną rodziną, jak powstał duch dywizji.

I tak jest! Potwierdziła to postawa oddziałów, potwierdzili to sami żołnierze, gdy wieczorem podczas koncertu, ich dowódca rzucił pytanie: "Prawda, chłopcy, my zawsze razem? my kupą żyjemy?" Odpowiedzieli tak, że ściany zadrżały i Wódz Naczelny śmiał się. Rozumiał.

Po powitaniu przemówił gen. Sikorski:

— Żołnierze! Gdy po podpisaniu układu z Rosją Sowiecką mówiłem, że tu, na ziemiach Związku Sowieckiego odradza się, jak Feniks z popiołów, Armia Polska, miałem wtedy wizję dzisiejszej pięknej rewii.—

—Oto stoi przede mną 5 dywizja piechoty, jedna z pierwszych, która będzie gotowa do boju, a która po ostatnim porozumieniu z Prezydentem Związku Sowieckiego, Stalinem, będzie przeniesiona w lepsze warunki, aby się szkolić, aby potem razem z innymi dywizjami wystąpić i uderzyć tak, żeby była na całym kontynencie głośna. Wielkie dzieło powstaje jedynie z wielkich cierpień i z wielkich trudów i dlatego wy musieliście cierpieć, gdyż straciliście swoją Ojczyznę. Straciliśmy ją także na skutek błędów, popełnionych przez nas, o czym nie wolno nam zapominać. Tych błędów nie wolno nam powtarzać w przyszłości. Polska nowa będzie rzetelna, demokratyczna, sprawiedliwa dla wszystkich swych obywateli bez różnic narodowych czy religijnych.—

Wielka, ogromna cisza stanęła na polu i żołnierze, bojąc się stracić choć jedno słowo—słuchali pozdrowień przywiezionych im od Rządu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, od braci walczących już na lądzie, morzu i w powietrzu, z Anglii, Libii, dalekiej Kanady i z Kraju. . . . Słuchali o podpisanej ostatnio na Kremlu z rządem sowieckim umowie, umowie co otwiera nową kartę historii i pozwala ufniej w przyszłość patrzeć. Słuchali o naszych sojusznikach i o czekających nas zadaniach.

Grzmiało jednym tchem z piersi tysięcy wyrzucone "Niech żyje!" Niech żyje Najjaśniejsza Rzeczypospolita i Sojusznicy w walce ze wspólnym wrogiem i On, Wódz Naczelny i Sternik Narodu!

A potem—defilada! Generał Sikorski przechodzi na trybunę. Nie, nie przechodzi. Nie przewidywał tego program uroczystości, może nie ma tego w regulaminach wojskowych, ale żołnierze i oficerowie nie dali Naczelnemu Wodzowi iść: na ramionach go zanieśli. . .

Na trybunie obok Naczelnego Wodza stanęli: Ambasador Rzeczypospolitej prof. Stanisław Kot, zastępca komisarza spraw zagranicznych Związku Sowieckiego, komisarz Wyszyński i dowódca Armii Polskiej na Wschodzie, generał Władysław Anders. Dalej—przedstawiciele państw sojuszniczych i oficerowie polscy.

Doskonała orkiestra gra marsza. Defiluje piechota. Płynie szeroką ławą, rozwinięta w plutonach, twardym, wyciągniętym krokiem. Jeszcze w starych, spracowanych płaszczach, jeszcze niejednolicie umundurowana, ale z bronią. I to z dobrą bronią. A co to znaczy—rozumie każdy, rozumie przede wszystkim każdy Polak.

Mimo woli przed oczyma powstaje obraz namalowany zresztą tu, w tej dywizji, pod tytułem "Przetrwamy."* Przez szarugę jesienną, przez burzę życiową, kroczy żołnierz polski, trzymając w garści karabin. Mocno trzymając! Tak jak ci z defilady! Wystarcza spojrzeć na te garście, spojrzeć w te oczy! Jest to żołnierz jedyny w świecie, żołnierz co stracił wszystko, Ojczyznę, najbliższych, mienie, co przez dwa lata niedoli i niewoli był tej broni pozbawiony, a teraz dostał ją znów! Żołnierz, który ma za co i o co walczyć i bić się—jak chyba nikt inny na świecie! I broni tej z garści nie wypuści, aż do zwycięstwa lub do . . . ostatniej kropli krwi.

Idzie kompania za kompanią, batalion za batalionem, pułk za pułkiem. Toczą się taczanki z bronią maszynową, wiozą swój sprzęt saperzy, łączność, służba sanitarna. Bateria za baterią. Baterie rozmaitych kalibrów, a działa—wyczyszczone, wypieszczone! No bo przecież to broń! Broń na nowo uzyskana! Tak droga sercu żołnierza tułacza, Żołnierza polskiego.

Orkiestra zmienia nutę. Mknie kawaleria! Tańczą konie, a serca nasze tańczą wraz z nimi, z piersi wyskoczyć chcą.

A twarze żołnierzy defilujących oddziałów—skupione, ściągnięte i oczy wpatrzone w Naczelnego Wodza.

Odwiedził też Wódz Naczelny żołnierza w jego domku, w zarytym, wpartym w ziemię i śnieg namiocie, baraku, ziemiance. Rozmawiał, rozpytywał, głęboko w oczy zaglądał i uśmiechał się zadowolony. Rozumiał, że ma przed sobą tych, co przetrwali, trwają i dojdą . . .

Wiele mów wygłoszono w kasynie. Witano całym sercem Naczelnego Wodza. Mówił on. Witano przedstawicieli naszych sojuszników, a oni ze swej strony wygłaszali zachwyt i podziw dla tego, co zobaczyli, dla odradzającej się Armii Polskiej.

I padały słowa mające wielki ciężar gatunkowy. Komisarzowi Wyszyńskiemu, gdy mówiąc w imieniu rządu sowieckiego, wskazywał wspólnego wroga, wspólne cele, gdy mówił o wielkiej Polsce, która ze zgliszcz powstanie i rodzącym się braterstwie wszystkich Słowian—przerwano oklaskami. Orkiestra grała hymny państw walczących o wolność.

Program pobytu Naczelnego Wodza w 5 Dywizji zakończył się krótkim, urządzonym w świetlicy koncertem. Krótkim, bo czas pobytu był skrócony,—ale koncertem tak dobrze pomyślanym i wykonanym! Orkiestra, deklamacje, śpiew chóralny. Śpiewano też pieśni naszych sojuszników, na ich cześć; gdy chór śpiewał ulubioną pieśń *Tommy-Tipperary*—attaché angielski nie wytrzymał i dołączył głos swój do ogólnego chóru. Nastrój bezpośredni, serdeczny, nastrój jednej żołnierskiej rodziny, goszczącej u siebie Pierwszego Żołnierza Rzeczypospolitej.

Teraz żołnierze pracują dalej, doskonalą się i . . . czekają na następne odwiedziny Naczelnego Wodza.

Bo obiecał, że przybędzie, gdy nastanie CZAS.

/"Orzeł" nr. 4/

WIKTOR OSTROWSKI

* Reprodukowaliśmy tę pracę Ludwika Wiecheckiego w nr. 1 "Polski Walczącej" z b.r.



Angielskie mundury i pierwsze karabiny



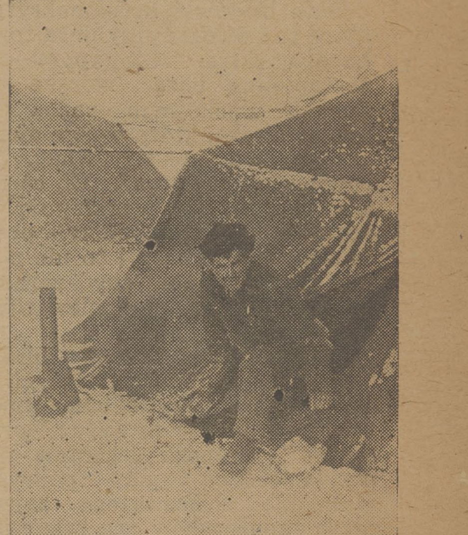
Defilada przed Naczelnym Wodzem



Improwizowana golarnia

Apel

(Strzelec do strzelców)



Tak się mieszka w "opalanych" namiotach

Tak koledzy, z bólem serca tęsknimy za Wolną Ojczyzną i za naszymi rodzinami, rozproszonymi w hitlerii i na wschodzie, o chłodzie i głodzie.

My, dzięki działalności naszych Wodzów, zostaliśmy zwolnieni z sowieckich obozów przymusowej pracy i powołani pod broń, więc jako żołnierzom nie wolno nam być pesymistami; śmiało i odważnie pod dowództwem naszych Wodzów staniemy do boju z naszym odwiecznym wrogiem. Jesteśmy narodem wierzącym. Bóg jest sprawiedliwy, a ostateczne zwycięstwo musi być po stronie sprawiedliwości. Historia się powtarza, więc powtórzy się bitwa pod Grunwaldem.

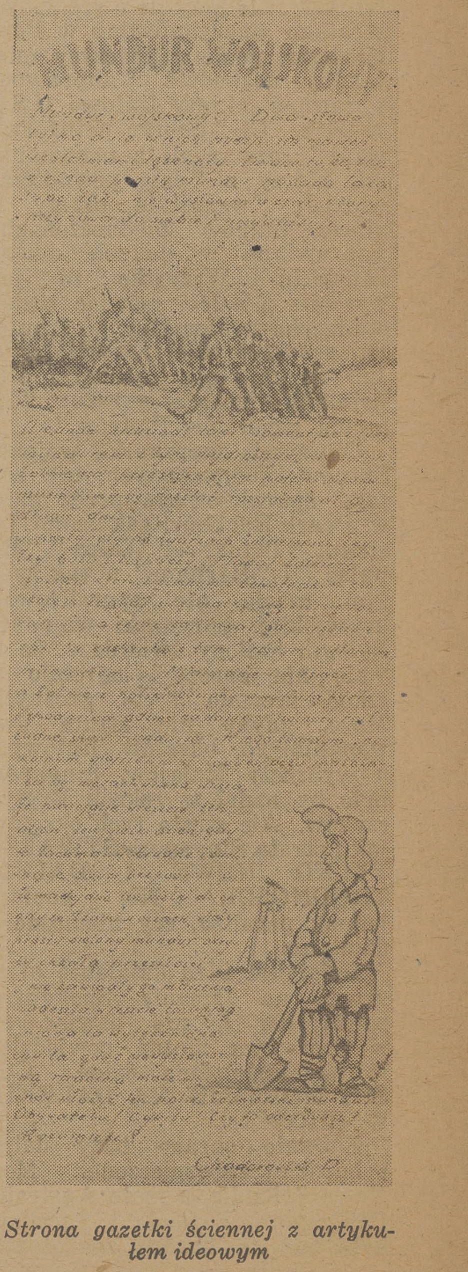
Tymczasem rodziny nasze i naszych rodaków, zesłane na wschód, cierpią głód i chłód. Obowiązkiem więc każdego Polaka przyjść z niezwłoczną pomocą cierpiącym.

Ja składam na ten cel 100 rubli i wzywam wszystkich kolegów do pójścia za moim przykładem. Złóżcie na ręce swoich dowódców większe lub mniejsze datki, niechaj Rodacy nasi poznają serce polskiego żołnierza, niechaj wiedzą, że żołnierze polscy nimi się opiekują i niechaj będą pewni, że powrócą do Wolnej Ojczyzny. Powrócimy!

Tak nam Panie Boże dopomóż.

/"W marszu," nr. 5/

JÓZEF ZŁOTOGÓRSKI



Strona gazetki ściennej z artykułem ideowym

Wojna na morzu

UPADEK BAZY SINGAPORE

Jedna z najgorszych nowin, jakie mogły nadejść, nie przygnębiła Sprzymierzonych, ale raz jeszcze podnieciła do naprawienia błędów i do samokrytyki, która tu i ówdzie przybiera formy bardzo ostre. Singapore—niezastąpiona baza morska na Oceanie Spokojnym—padło. Że jest to klęska, którą będzie niesłychanie trudno wyrównać, nie powinno się ukrywać. Ci, co mówią inaczej, źle przysługują się sprawie. Należy śmiało prawdzie patrzeć w oczy i to nie poto, aby biadać, ale aby zaradzić złemu, bo to zło niewątliwie istnieje.

Popełniono mnóstwo błędów zasadniczych, wręcz trudnych do zrozumienia. Zaniedbano umocnień bazy od strony lądu; "przeoczono" możność desantów nieprzyjacielskich na półwysep Malajski; zlekceważono zajęcie przez Japończyków (na tyle czasu przed wojną japońsko-brytyjską!) francuskich Indochin, która to okupacja właściwie dała możność Japończykom do wszystkich późniejszych piorunujących działań w kierunku na południe; fałszywie oceniono rolę Sjamu, który z "ewentualnego sprzymierzeńca, broniącego każdej piędzi ziemi Thai," stał się wrogiem i to wrogiem przez swe położenie geograficzne dotkliwym i t. d., i t. d . . . Bohaterska obrona na wyspie Luzon (Filipiny) znakomitego generała amerykańskiego MacArthura w świetle nieoczekiwanie szybkiego upadku Singapore uwypukla się szczególnie.

Piszę to wszystko nie po to, by krakać. Piszę, by czytelnicy "Polski Walczącej", których moim obowiązkiem jest informować o prawdzie, jasno zdali sobie sprawę, że sytuacja na Dalekim Wschodzie stała się poważna, bardzo poważna. Singapore w rękach Japończyków bowiem będzie dla floty japońskiej wielką odskocznią do ataku na . . Indie, na Jawę, na Australię i na Afrykę Południową, co w związku z podejrzanymi ruchami floty Führera może się stać bardzo niebezpieczne dla Sprzymierzonych.

COŚ SIĘ MONTUJE NA DALEKIM WSCHODZIE

Kto jednak uważnie i niepanikarsko przygląda się wydarzeniom na Oceanie Spokojnym ten zastanowić się musi nad groźną ciszą, która zapanowała na samym oceanie. Niecierpliwi pytają, czy wielką flotę Stanów Zjednoczonych tknął paraliż, a strachajły opowiadają wręcz fantastyczne historie o rzekomych stratach amerykańskich w Pearl Harbour, gdzie Japończycy mieli jakoby uszkodzić "naprawdę" i zatopić okręty liniowe U.S.A. w 90%. Ci "dobrze poinformowani" rozmawiali z marynarzami, którzy z "całą pewnością" widzieli "wszystkie okręty liniowe Stanów Zjednoczonych" naprawiane w dokach amerykańskich. Wszystko to jest wyssane z palca, mówiąc stylem studencko-żołnierskim: "bujda na resorach dla naiwniaków", lub wręcz piąta kolumna, albo kolumna jeszcze gorsza: "kolumna generałów Pietrów."

Olbrzymia marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych, nie została sparaliżowana przez nalot w Pearl Harbour, tak samo jak strata "Prince of Wales" "Repulse" i "Barham" w tak krótkim czasie nie sparaliżowała brytyjskiej marynarki wojennej. Byłbym szalony twierdząc, że to "nic nie znaczy"—narobiło to szkód niemało i to groźnych. Może, gdyby nie strata dwu wspaniałych okrętów liniowych u wybrzeży Malajów, Singapore było by nadal w rękach Brytyjczyków. Ale strata tych okrętów, jak i strata Singapore STWARZA TYLKO NOWE I DALSZE TRUDNOŚCI. Nie pociąga jednak paraliżu, czy niemożności działania.

Działanie i to działanie ofensywne na Oceanie Spokojnym zbliża się i, nie bawiąc się w proroctwa można powiedzieć, iż nadejdzie lada dzień. COŚ SIĘ MONTUJE NA DALEKIM WSCHODZIE.

Słusznie obrano bazy dalsze i bardziej zabezpieczone. Może Nową Zelandię, a może Australię. (Singapore, Batawia i Surabaya były już za bardzo zagrożone.)

Słusznie "oczyszczono drogę" przez atak amerykański na japońskie bazy pomocnicze na wyspach Archipelagu "Marszałkowskiego" i Gilberta (W tym kombinowanym raidzie morsko - powietrznym Amerykanie zniszczyli 4 wielkie radiostacje, zburzyli umocnione bazy na wyspach Taroa, Wotje, Roi i Enybor, zrównali z ziemią prace umocnieniowe na wyspach Kwajalein i Roi, oraz zatopili Japończykom: 1 nowoczesny krążownik, 2 duże okręty podwodne, 17,000-tonnowy statek handlowy, przerobiony na lotniskowiec, 3 tankowce ropowe—każdy po mniej więcej 10,000 tonn, 5 transportowców po 5-6,000 tonn i 2 okręty pomocnicze po 5,000 tonn, z tego jeden prawdopodobnie okręt-baza dla wodnopłatowców).

Jednocześnie dowództwo morskie wszystkich sił sprzymierzonych na Dalekim Wschodzie przeszło w ręce admirała holenderskiego E. L. Helfriecha na miejsce admirała amerykańskiego Hart'a, który nagle ciężko zachorował. Japońska agencja prasowa Domei przestrzega swoich rodaków przed upajaniem się zwycięstwami, gdyż "dają się zauważyć podejrzane ruchy floty brytyjskiej i amerykańskiej, które mogą w rezultacie stworzyć jeszcze wiele trudności."

Owe "podejrzane ruchy", czyli innymi słowy przegrupowania i zajmowanie odpowiednich baz, mogą jednak odbywać się tylko stosunkowo bardzo powoli z powodu olbrzymich odległości. Od wysp Marszałkowskich do nadszarpniętej bazy na Hawajach jest tylko, skromnie licząc, 2,000 mil morskich. Nie należy zaś zapominać, że aby okręty mogły przepłynąć owe przestrzenie olbrzymie, ale i działać, łącznie z okrętami mniejszymi i lotnictwem, muszą się gdzieś zaopatrywać w paliwo, żywność, wodę i amunicję, muszą działać z jakiejś bazy.

Gdzie owe nowe bazy się znajdują, jakie są plany kontrofensywy na morzu, jakie są tej kontrofensywy możliwości, są to pytania, na które teraz nie sposób odpowiedzieć. Wszystkie jednak znaki na ziemi i na niebie wskazują, że pomimo upadku Singapore, pomimo utraty Manili, COŚ SIĘ MONTUJE NA OCEANIE SPOKOJNYM.

"DYWERSJA" CZY PO PROSTU UCIECZKA?

Zdaniem wielu publicystów morskich (między innymi doskonałych: McMurtrie w "*The Daily Telegraph*" i John Gordon w "*Sunday Express*") koncentracja floty niemieckiej w Wilhelmshaven, dokonana dzięki sforsowaniu La Manche przez okręty liniowe "Scharnhorst", "Gneisenau" i "Prinz Eugen", MOŻE być próbą dywersji niemieckiej na Atlantyku dla związania jak największej ilości okrętów brytyjskich, przez co zostałaby osłabiona spodziewana przez Niemców i Japończyków kontrofensywa Sprzymierzonych na Oceanie Spokojnym.

Według wszelkich przypuszczeń w Wilhelmshaven admirał Raeder zgromadził w tej chwili, prócz potężnej flotylli kontrtorpedowców, ścigaczy i okrętów podwodnych, okręty liniowe: "Tirpitz" (40-50,000 tonn—rodzony brat "Bismarcka"), "Scharnhorst" i "Gneisenau" (po 26,000 tonn każdy), okręty liniowe ("pancerniki kieszonkowe" po 10,000 każdy): "Admiral Scheer" i "Luetzow," ciężkie krążowniki: "Prinz Eugen" i "Admiral Hipper," wielki lotniskowiec "Graf Zeppelin" i lekkie krążowniki "Nuernberg," "Leipzig" i "Emden" (ten podobno jednak został ostatnio zatopiony?). Jakby nie było jest to flotylla potężna i może narobić dużo kłopotu nawet takiej olbrzymiej sile, jaką jest *Home Fleet*.

Istnieją jednak również poglądy, że "przerwanie się przez kanał" niemieckich okrętów liniowych wywołane zostało jedynie tylko niemożnością naprawy i dłuższego przebywania tych okrętów w Breście (110 nalotów w ciągu roku). Istnieje również trzecie prawdopodobieństwo, że Hitler za pomocą tych okrętów, oraz korzystając z baz norweskich będzie się starał przeciwstawić transportom "pomocy dla Rosji." Czwarte przypuszczenie to przypuszczenie "inwazyjne."

Osobiście skłaniam się do kombinowanej teorii pierwszej z ostatnią pomijając drugą, a trzecią uważając za "dodatkową."

Niewątpliwie bowiem jednym z zasadniczych "sposobów" śmiałej dywersji może być próba inwazji na Wyspy Brytyjskie przy użyciu wszelkich rozporządzalnych sił i podwójne związanie *Home Fleet* przez wielkie okręty podczas ataków powietrznych i małych okrętów na same wyspy. Przeszkadzanie w komunikacji z Rosją (co może się stać na wiosnę mało aktualne) będzie zapewne zadaniem ubocznym.

Co do teorii zaś drugiej (przeprowadzenia dla napraw i ucieczki przed bombardowaniami) powiem szczerze, że nie wierzę w wielką skuteczność bombardowania zwykłymi bombowcami tak małych celów, jak okręty stojące w dokach, przy tak piekielnym ogniu przeciwlotniczym, o którym speaker B.B.C. powiedział obrazowo, że "był to najsilniejszy ogień p.l. w obecnej wojnie." W każdym razie okręty niemieckie nie musiały być nazbyt uszkodzone, jeśli weszły do najwęższego miejsca La Manche z szybkością (jak twierdzą komunikaty Admiralicji i R.A.F.) 30 węzłów.

LA MANCHE ZOSTAŁ SFORSOWANY

Fala goryczy i gniewu zalewa naszych dzielnych i tak ambitnych na morzu Sprzymierzeńców. "Jak się to mogło stać,—pytają wszystkie bez wyjątku gazety, pytają ludzie w "busach" londyńskich w "tubach"—że pod nosem urządzeń obronnych Wielkiej Brytanii, przed nosem *Home Fleet* i potęgi R.A.F. cała eskadra okrętów liniowych zdołała przepłynąć i osiągnąć swój cel. Prawda, że szybkość ich zmalała z 30 do 10 węzłów, że poza Dover'em Niemcy płynęli już w rozproszeniu, że prawdopodobnie najmniej 4 torpedy (jedna wystrzelona przez kontrtorpedowce brytyjskie, a 3 przez samoloty) trafiły w cel, że te okręty i te samoloty (eskadra k.t., ścigacze i około 600 samolotów brytyjskich), które dopadły wroga walczyły dzielnie i z niebywałym poświęceniem (eskadra 6 Sfordfishów, która pierwsza zaatakowała Niemców, zginęła co do jednego). Prawdą, ale JAK TO SIĘ MOGŁO STAĆ? Dlaczego zauważono Niemców dopiero pod Dover'em? Dlaczego R.A.F. podaje godzinę 10.42 jako godzinę rozpoczęcia ataku, Admiralicja zaś godzinę 11.35? Co się działo przez te 53 minuty? . . . Gdzie były brytyjskie okręty liniowe? i t.p., i t.p. . . ."

Duma morska Brytyjczyków została poruszona do żywego i nie wszyscy zdają sobie może z tego sprawę, że przyczyna leży w . . . mylnym założeniu. Po stracie "Prince of Wales" i "Repulse" po prostu przeceniono możność SAMODZIELNEJ AKCJI lotnictwa. 600 samolotów bowiem to potęga olbrzymia. A jednak nie dała rady i dać nie mogła okrętom liniowym, bronionym przez silny ogień p.l. własny oraz chroniących ich k. t. i ZNAKOMICIE OSŁANIANYM PRZEZ POTĘŻNE ESKADRY SAMOLOTÓW MYŚLIWSKICH.

Tak samo, jak wyruszenie samotne, bez lotnictwa "Prince of Wales" i "Repulse" było szaleństwem taktycznym, tak samo atak *wyłącznie lotniczy* na okręty liniowe, bronione przez samoloty myśliwskie i osłonę k.t. był krwawą pomyłką, kosztującą Sprzymierzonych 42 samoloty (w akcji brali udział również Polacy) i 42 jeszcze cenniejsze załogi. Kontrtorpedowce i ścigacze zdziałać mogły też stosunkowo mało, związawszy się natychmiast z kontrtorpedowcami i ścigaczami nieprzyjacielskimi. Przytym widoczność w kanale (nie specjalnie mała w tych miejscach, powiedzmy "normalna", od 5 do 3 mil) utrudniała akcję.

Gdyby jednak Niemców zauważono dostatecznie wcześnie (z Brestu do Dovru jest 400 mil morskich co stanowi nawet przy największej szybkości, nie używanej przecież przez Niemców przez cały czas—14 godzin drogi, a w rzeczywistości pewno z 25, 26 godzin)—brytyjskie okręty liniowe mogłyby dopłynąć ze swojej bazy zapewne na czas. Wynik wówczas, przy współudziale aż 600 samolotów brytyjskich, byłby zupełnie inny. Jak się w tym świetle przedstawia sprawa owych 50 minut? . . . Oto jest pytanie.

Rozważając te sprawy przypomina się krytyka jednego z z admirałów amerykańskich skierowana przeciw zbyt ścisłej odrębności organizacyjnej R.A.F., którą przytaczałem w jednym z dawniejszych moich przeglądów (nr. 46 "Polski Walczącej" ub. r.). Admirał ten twierdził, że inwazja Norwegii miałaby znacznie mniejsze prawdopodobieństwo powodzenia, gdyby Admiralicja brytyjska była na czas powiadomiona przez samoloty zwiadowcze R.A.F., które trzy dni przedtym zauważyły tajemnicze transporty niemieckie na północ. Raport poszedł, ale wędrował przez łącznikowych . . . trzy dni.

Jak widzimy więc, przy właściwej osłonie lotniczej i ubezpieczeniu małymi okrętami, okręty liniowe pozostały i zapewne jeszcze długo pozostaną zasadniczymi instrumentami walki na morzu i posiadania morza.

"NORMANDIE" I INNE WYDARZENIA

Na tle tych głównych wydarzeń ostatnich tygodni bledną inne epizody, których było niemało. Jednym z boleśniejszych jest utrata "Normandie" (83,000 tonn), największego po "Queen Mary" statku świata. Był on zarekwirowany rządowi Vichy w porcie Nowego Yorku i przerabiany na olbrzymi lotniskowiec. Dzięki "przypadkowi" wspaniały ten statek spłonął, wywracając się na bok. Piąta kolumna nie śpi, a obok "generała Pietra," jest jedną z najgroźniejszych broni tej dziwacznej i strasznej wojny.

To też trzeba być bardzo ostrożnym wysłuchując "sensacyjnych wieści" od niefachowców. Z drugiej jednak strony lepiej prawdzie patrzeć w oczy, czego nas w tak piękny sposób uczą nasi gospodarze, Brytyjczycy.

—"Mam izbie smutne wieści do zakomunikowania" — rozpoczął Churchill jedno z ostatnich swoich przemówień w parlamencie i . . . wypowiedział w rezultacie jedno z najbardziej "optymistycznych" przemówień w swojej karierze, bo pełne wiary, opartej na zdrowych, niezakłamanych przesłankach.

"*Keep smiling*" polski czytelniku i patrz w przyszłość, rozważając każdą sprawę uczciwie, a napewno razem ze mną pozostaniesz optymistą, pomimo takich, czy innych chwilowych niepowodzeń.

Londyn 15 lutego, 1942 r.

BOHDAN PAWŁOWICZ

Książki o wojsku i wojnie

Piękny pamiętnik żołnierski

Jeśli bezpośrednio po przeczytaniu książki "Między Marną i Loarą" * nie napisałem o niej do "Polski Walczącej," to tylko dlatego, iż sądziłem, że ubiegną mnie bardziej powołane ku temu pióra. Tym więcej zdziwiła mnie cisza o tej doskonałej książce p. F.S. na łamach wszystkich naszych pism. Wtajemniczeni w te nieco dziwne praktyki naszej prasy, zdołaliby może je wytłumaczyć, przeciętnemu "emigrantowi" trudno je zrozumieć. Bo książka poza walorami literackimi i historycznymi, jest porywająca. Zawdzięczam jej wiele głębokich i zupełnie niecodziennych wzruszeń.

Swego czasu słusznie zachwycano się żołnierskim pamiętnikiem Ernesta Jüngera z pięknie przetłumaczonym z niemieckiego na polski tytułem: "Im Stahlgewitter" "Książę Piechoty." Pamiętnik p. F.S. w niczym mu nie ustępuje, przeciwnie—przewyższa dość ponurą książkę Jüngera przede wszystkim kawalerską i kawaleryjską fantazją.

"Między Marną i Loarą" opowiada dzieje "Czarnej Brygady" po jej przedostaniu się na Węgry we wrześniu 1939, aż do zakończenia jej działań we Francji. "Czarna Brygada" sformowała się ponownie dopiero tuż przed "Bitwą o Francję," a została rozformowana w niewiele dni później w Bois de Malte, kiedy na skutek braku benzyny i całkowitego otoczenia przez Niemców generał M. nakazuje przerywać się na południe poszczególnym grupkom żołnierzy.

Wprawdzie tak będą mówili kiedyś ściśli kronikarze wojny, rzecz miała się jednak w rzeczywistości inaczej, tak właśnie, jak to nam opowiada pamiętnik p. F.S. "Czarna Brygada" bowiem nie przestała istnieć ani po rozbrojeniu i internowaniu na Węgrzech, ani wtedy, gdy jej poszczególni żołnierze wędrowali różnymi szlakami i sposobami poprzez Europę, ani wtedy, gdy bezczynnie a długo oczekiwała na broń we Francji, ani po jej formalnym rozwiązaniu pod Bois de Malte. "Czarna Brygada" istniała zawsze, albowiem wszyscy jej żołnierze wiedzieli dobrze, że odnajdą się zawsze razem tam, gdzie będzie się można bić z Niemcami. Brygada wróci do Polski napewno, chociaż braknie w niej wówczas wielu tych, którzy zostali na polach bitwy w Polsce i we Francji, i tych, którzy "doszlusują" do poległych towarzyszy w przyszłych bitwach.

Książka p. F.S. pozwala nam zrozumieć a przy tym głęboko odczuć tę wspaniałą prawdę o niezachwianym ani na chwilę duchu żołnierza "Czarnej Brygady." Na tym właśnie polega przede wszystkim wysoka wartość pamiętnika, który jest nie tylko opisem osobistych przeżyć autora i jego towarzyszy, ale równocześnie dziennikiem bojowym Brygady.

Wartość książki podnosi bogaty, chciałoby się rzec przy tym, nieuczony, talent literacki autora, przebijający z prostego, bardzo żywego i jędrnego języka oraz z wypranego całkowicie z patosu a zabarwionego świetnym poczuciem humoru, stylu opowiadania.

Na zakończenie tych kilku wrażeń z książki p. F.S. /recenzję pozostawiam uczonym w piśmie/, chciałbym zdradzić pewną tajemnicę,zdolną może przemówić do przekonania tym, którzy dawnym naszym zwyczajem, mierzą swój sąd według cudzego uznania. Otóż w parę dni po ukazaniu się książki, do jej autora zwróciło się pewne konsorcjum amerykańskie /*hear! hear!*/ z propozycją wydania książki w języku angielskim i przygotowania scenariusza filmowego.

Należało by życzyć autorowi pomyślnego zakończenia projektowanej transakcji, jako, że jego osobisty sukces byłby równocześnie wielkim a rzetelnie zasłużonym sukcesem propagandowym nie tylko "Czarnej Brygady," ale i całego naszego wojska.

STEFAN JURKOWSKI

* F.S.: "Nad Marną i Loarą" /ze wspomnień Polaka, uczestnika kampanii niemiecko-francuskiej w czerwcu 1940/, Księżnica Polska, 240, Hope Street, Glasgow, C.2.

STOWARZYSZENIE ARCHITEKTÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

w Wielkiej Brytanii.

Komitet Organizacyjny S.A.R.P. w Wielkiej Brytanii, po uzgodnieniu sprawy z Władzami Polskimi, przystępuje do organizacji Stowarzyszenia.

Komitet apeluje do wszystkich inżynierów architektów — członków S.A.R.P. oraz studentów Wydziałów Architektury Politechniki Warszawskiej i Politechniki Lwowskiej do listownego zgłaszania swych personalji pod adresem kol. Jana Polińskiego, 41, Saughtonhall Drive, Edinburgh.

Z życia obozów

Pan Prezydent R.P. odwiedza polski pociąg pancerny

Dopiero gdy trzeba przejechać samochodem przez cały Londyn, widzi się jak olbrzymi obszar zajmuje to miasto. Mimo wojny, mimo ograniczeń benzynowych i mimo zmniejszonej w ogóle liczby pojazdów mechanicznych, na przedmieściach Londynu ulice są chwiłami zatarasowane. Przyczyniają się też do tego w znacznym stopniu tramwaje. Jesteśmy zmuszeni do jazdy nieomal krok za krokiem. Drajwerka ma twarz zupełnie spokojną, ale siedzący obok niej Anglik reaguje o wiele żywiej, niż by na to pozwalały ogólnie przyjęte zwyczaje tej wyspy.

My jesteśmy zupełnie wyraźnie po jego stronie, ale nie chodzi tu tylko o nas, ponieważ za nami jedzie samochód Pana Prezydenta R.P., który my "pilotujemy" i przy każdym zakorkowaniu czujemy się wszyscy trochę winni, bo wybraliśmy właśnie tę drogę. W końcu jednak wydostajemy się poza obręb tego kolosa i po pewnym czasie przyjeżdżamy do niedużej miejscowości, gdzie przed dworcem melduje się Panu Prezydentowi dowódca jednego z dywizjonów Polskich Pociągów Pancernych.



Przechodzimy na peron, gdzie pod parą stoi pociąg pancerny, a jego dowódca składa raport. Pan Prezydent wita się z całą załogą, poczem wszyscy wsiadają do pociągu i następuje wyjazd na patrol. Jest to jedna z tras, po których codziennie przebiegają patrole bojowe naszych pociągów pancernych.

Stoimy na zakrytej do połowy platformie i w miarę zwiększania się szybkości wiatr co raz ostrzej dmie prosto w twarz. Nieprzyzwyczajeni do takiego pędu na otwartej przestrzeni marzniemy i mimo woli każdy kurczy się jak może. Widząc to Pan Prezydent uśmiecha się i zwraca się do wszystkich z zapytaniem:

—"Kto z Panów był na Nowej Ziemi?"

Wszyscy jakby się rozprostowali. Wspomnienie gdzieś daleko na północy położonej wyspy, prawdziwych mrozów ociepla nas na chwilę, a tymczasem Pan Prezydent mówi dalej:

—"... Byłem tam w 1911 roku. Po ukończeniu podoficerskiej szkoły artylerii konnej otrzymałem urlop i w czasie tego urlopu jeździłem z Archangielska do Mezania celem zorientowania się w warunkach życia tamtejszej kolonii polskiej. Chodziło o zorganizowanie jakiejś pomocy. W drodze powrotnej okręt nasz zawinął do Nowej Ziemi, gdzie staliśmy przeszło 24 godziny. Ludność tamtejsza zajmuje się przeważnie rybołóstwem i polowaniem na białe niedźwiedzie. Warunki życia bardzo prymitywne. Mrozy są duże, ale mieszkańcy są w znacznym stopniu do nich przyzwyczajeni. W tych czasach zresztą nie było ich tam tak wielu, jedna osada—wszystkiego jakieś 60 ludzi ..."

Pociąg pędzi już teraz ze znaczną szybkością a ostry wiatr wyciska niemal łzy z oczu. Nikt jednak nie myśli o zimnie. Odnoszę wrażenie, że nie bez przyczyny Pan Prezydent po przeszło 30 latach, wraca myślami do tej dalekiej i zimnej wyspy. I my wszyscy myślimy o tych, którym teraz jest naprawdę zimno.

Na życzenie Prezydenta dowódca pociagu pancernego udziela szeregu objaśnień, opisując warunki służby, techniczne możliwości walki, oraz metody taktycznej współpracy z innymi oddziałami.

Po przybyciu do miejsca postoju dowództwa, Pan Prezydent udał się do koszar, w których kwateruje załoga pociągu pancernego. W czasie zwiedzania świetlicy i kwater Pan Prezydent rozmawiał z obecnymi na salach oficerami. Przy oglądaniu kuchni zameldował się jako starszy kucharz, dawny marynarz z S.M. "Piłsudski" a obecny kapral pociągów pancernych. Pan Prezydent przez dłuższą chwilę rozmawiał ze szczęśliwie ocalonym marynarzem, który opowiadał o ostatnich momentach przed zatopieniem statku i o śmierci kapitana Stankiewicza.

Po obejrzeniu pięknej świetlicy i kwater wszyscy obecni udali się do sali jadalnej, gdzie spożyto skromny obiad żołnierski, w czasie którego Pan Prezydent R.P. wzniósł toast na cześć Króla Jerzego VI a Inspektor Polskich Pociągów Pancernych —na cześć Pana Prezydenta.

Po obiedzie wszyscy przeszli do sali wykładowej, gdzie dowódca pociągu pancernego złożył Panu Prezydentowi sprawozdanie ze służby i prac pozasłużbowych całej załogi. W sprawozdaniu tym zaznaczył, że dzisiaj na ziemi brytyjskiej Polskie Siły Zbrojne posiadają w swym składzie już kilka dywizjonów pociągów pancernych, których załogi składają się wyłącznie z oficerów, pełniących bez względu na swój stopień służbę strzelców, ładowniczych, amunicyjnych, celowniczych, obserwatorów i wiele innych. Oficerowie ci nie mogąc chwilowo otrzymać właściwych im stanowisk dowódczych zgodzili się ochotniczo na służbę w pociągach pancernych w charakterze prostych żołnierzy.

Nie znaczy to jednak, aby poprzestali tylko na tej służbie. Rozumiejąc swoje zadanie jako kadry przy dalszej rozbudowie Polskich Sił Zbrojnych, przechodzą poza tym przeszkolenie z zakresu broni pancerno-motorowej. Oficerowie z załogi tego pociągu odbyli już 65 *stage*'y w armii brytyjskiej i przeszli przez cały szereg kursów specjalnych. W lipcu 1941 r. pociąg ten był wizytowany przez Króla Jugosławii Piotra I i Premiera Churchilla.

Poza służbą na patrolach i poza codziennym szkoleniem pracowano również na tutejszym terenie w kierunku kulturalno-propagandowym.

Współpraca z oddziałami brytyjskimi i współżycie z miejscową ludnością nie pozostawiają nic do życzenia. Swoje sprawozdanie zakończył dowódca pociągu słowami:

—"Mogę Ci Dostojny Panie Prezydencie zameldować, że załoga pociągu pancernego wykazała na wszystkich odcinkach swojej pracy zalety cechujące dobrego żołnierza i dobrego Polaka."

W odpowiedzi Pan Prezydent R.P. powiedział:

—"Nieraz zastanawiałem się nad warunkami twardej służby, którą Panowie pełnicie ochotniczo w pociągach pancernych. Zadawałem sobie pytanie, czy służba ta przychodzi Panom łatwo? Myślę, że jest to chyba faktem niespotykanym w żadnej armii świata, aby całe załogi pociągów pancernych składały się wyłącznie z obsady oficerskiej. Niewątpliwie było to następstwem specjalnej struktury naszych Sił Zbrojnych w pierwszym okresie ich formowania się na terenie W. Brytanii, ale jest to jednocześnie dowodem, że charakter Polaka posiada olbrzymie zdolności przystosowania się do warunków i do znacznego poświęcenia ambicji osobistych, gdy zajdzie tego istotna potrzeba. Tylko najwyższe poczucie honoru żołnierskiego i zrozumienie potrzeb służby żołnierskiej w połączeniu z wielką miłością Ojczyzny, umożliwiają taki stan. Rad jestem, że mogę Panów odwiedzić w warunkach ich codziennej pracy i z dużym zadowoleniem i uznaniem stwierdzam, że cała załoga wypełnia wszystkie swe obowiązki sumiennie i uczciwie. Życzę Panom, aby Wasze rycerskie dążenia i aspiracje wojskowe stały sie jak najrychlej waszym pełnym udziałem—pracujecie dla przyszłości Polski Wielkiej i Sprawiedliwej. Na drodze tej pracy życzę Panom —szczęść Wam Boże!"

Po przemówieniu Pana Prezydenta jeden z instruktorów przeprowadził ilustrowany na stole plastycznym wykład z zakresu taktycznego użycia batalionu czołgów.

Po wykładzie, żegnany przez całą załogę Pan Prezydent udał się w drogę powrotną, w czasie której zatrzymał się w Canterbury dla zwiedzenia słynnej katedry. Wśród wspaniałych zabytków sztuki kościelnej, na sklepieniu jednej z bocznych naw Pan Prezydent oglądał ze wzruszeniem nieduża czerwoną tarczę z pięknym Białym Orłem. Jak podaje kronika katedralna, tarcza ta została zawieszona pomiędzy 1415 a 1440 rokiem. Niestety nie wiadomo kto był jej ofiarodawcą.

Polski Biały Orzeł wiszący od 500 lat na sklepieniu starej katedry angielskiej, to dowód, że już tak dawno na tym terenie nie byliśmy narodem obcym.

KAMIL BOGUMIŁ CZARNECKI

Orkiestra Pierwszej Brygady

Przyszły kronikarz opisujący dzieje tworzenia się Armii Polskiej na gościnnej ziemi brytyjskiej będzie miał ciężki orzech do zgryzienia z historią powstania orkiestry Pierwszej Brygady Strzelców. Wstępne karty dziejów orkiestry zaprowadzą do pierwszego miejsca postoju Brygady, gdzie powstał zespół muzyczny, ale bez instrumentów. I długo, długo nie było nic, krom smutku i zwątpienia, które zagnieździły się w sercach orkiestrantów. Chodzili oni smutni po ulicach małego szkockiego miasteczka, przylepionego do podnóża malowniczych gór, zazdroszcząc nawet piskliwym kobziarzom szkockim ich dziwnych "narzędzi" gry. Kapelmistrz też chodził smutny, z takim bowiem trudem udało mu się skompletować zespół, a zespół nie miał na czym grać.

Aż pewnego dnia gruchnęła wiadomość, że będą instrumenty. Po prostu generał, który mało mówił na te "palące" tematy, działał jednak i pewnego dnia orkiestra otrzymała wspaniały dar od lady Warrender: cały agregat instrumentalny. Zaraz też twarze pojaśniały i wszyscy zabrali się żwawo do roboty.

Od tego dnia uliczki miasteczka zaczęły rozbrzmiewać "*lovely Polish tunes*," jak mówili jego mieszkańcy. Zaczęły się koncerty na świeżym powietrzu i w "reprezentacyjnej" sali małego, miejscowego kina. Dzieciarnia biegła za orkiestrą, ilekroć pokazała się ona na ulicach. Szkoci gromadzili się podczas defilad, aby posłuchać pięknych a tak innych melodii. Wkrótce nie można sobie było wyobrazić żadnej szkockiej imprezy bez "*Polish Band.*" Ludność miasteczka polubiła serdecznie nowych przybyszów, a dzieci wprost zaczęły przepadać za nimi.

Znany jest wypadek pewnego małego Szkocika, który przystał do orkiestry prawie na stałe. Gdy już po wyjeździe naszej brygady na inne miejsce postoju jeden z orkiestrantów przyjechał w odwiedziny do swoich przyjaciół w dawnym m.p., Szkocik dostał po prostu spazmów z radości na jego widok. Uparł się, że musi z nim pojechać. Trudno było matce puszczać kilkuletniego szkraba daleko od siebie. Po paru dniach żołnierz wyjechał, a mały Szkocik posmutniał bardzo, stracił apetyt i zaczął często popłakiwać. Cóż było robić? Matka spakowała manatki i wysłała uparciucha w drogę—do orkiestry. Widziałem go później podczas pobytu u nas. Był szczęśliwie uśmiechnięty. Wyjechał po paru tygodniach do domu z zapewnieniem, że wkrótce do nas wróci.

Również "królewska poczta" w dawnym i w nowym miejscu postoju ma wiele zajęcia z korespondencją między obu miastami. Tak więc "klucz wiolinowy" otworzył serca naszych miłych gospodarzy.

Właściwe jednak kłopoty dla naszej orkiestry zaczęły się dopiero z chwilą otrzymania instrumentów, okazało się bowiem, że tak zwane "drewniane" instrumenty są o całe ćwierć tonu niższe od blaszanych. Wszystko było dobrze, jeśli powietrze było suche, wtedy jakoś z dostrojeniem orkiestra miała mniej kłopotu. Prawdziwe nieszczęście zaczynało się podczas długotrwałej wilgoci w powietrzu, o co w Szkocji nie jest znów tak trudno. Ale jakoś i te mankamenty zostały pokonane, trzeba było tylko specjalnie instrumentować grane utwory.

Ta instrumentacja to był w ogóle dość ciężki problemat. Bardzo mało melodii polskich dochowało się tutaj w W. Brytanii. Wiele utworów było napisanych tylko na głosy lub fortepian. Laik muzyczny nie zrozumie nigdy jaka to jest praca rozpisać partytury prawie wszystkich pieśni i marszów polskich na poszczególne instrumenty. Sporo również utworów trzeba było odtwarzać po prostu z pamięci.

Nasza orkiestra może być śmiało nazwana reprezentacyjnym zespołem Armii Polskiej. Ma już za sobą nagrany cały szereg melodii ludowych i wojskowych na płytach. Występowała kilkakrotnie przed mikrofonem B.B.C. Niedawno dała koncert na rzecz pomocy Polakom w Rosji dla robotników z dzielnic Glasgow, nawiedzonych swojego czasu nalotami. Koncert ten był jeszcze jednym sukcesem orkiestry.



Najmilszym jednak wspomnieniem zapisze się w pamięci orkiestry jej występ przed mikrofonem radia brytyjskiego z okazji naszego Święta Niepodległości. Echa tego półgodzinnego koncertu nawróciły w postaci dziesiątków listów z najbardziej zapadłych kątów Anglii i Szkocji, wyrażających podziw i uznanie dla kapelmistrza i wykonawców. Cały szereg kapelmistrzów znanych orkiestr brytyjskich zwrócił się z prośbą o zezwolenie na przyjęcie wielu polskich melodii ludowych do swojego stałego repertuaru. Jakiś muzykolog pisze, że "przed wykonawcami brytyjskimi otwierają się nowe drogi interpretacji muzycznej, wskazane przez polską orkiestrę."

Najbardziej może miły jest jednak list młodej dziewczyny z Anglii, która pisze: "Bardzo podobały mi się zarówno Wasze szybkie marsze z okolic Tatr, jak i smutne, powolne walce z nizin Polski (mowa o kujawiakach przyp. autora). Czytałam niedawno piękną polską książke w tłumaczeniu angielskim: "Pan Tadeusz" Mickiewicza. Wspomniana jest tam w "Koncercie Jankiela" piękna melodia, śpiewana przez Legiony pod nazwą "Mazurek Dabrowskiego." Będę bardzo wdzięczna, jeśli Pan Porucznik zechce ją umieścić w repertuarze swojego następnego programu" ...

Orkiestra przeżyła swój najpiękniejszy dzień w Szkocji. Kiedy zapytałem jednego z kolegów z orkiestry, co myśli o tym nowym triumfie, odpowiedział mi, że jednak najmilej było jednak—w Pierwszym Mieście Pierwszej Brygady Strzelców.

JAN LACHOWICZ

Bez black-outu

Lubimy tajemniczość. Zamiłowanie naszego sentymentalnego narodu do tajemniczości i tajności ma swoje głębokie historyczne przyczyny, które jednak z czasem przeradzały się w tragiczną, zbyt rzeczywistą plagę "poufnych" i "ściśle tajnych" spraw i pism, zasypujących nie tylko ludzi, ale i najmniejsze biurka naszej machiny rządowej z ostatnich lat. Szlachetna, ofiarna tajemniczość konspiracji polskiej z okresu przed odzyskaniem niepodległości, zdegenerowała się z biegiem czasu, wypaczyła i zasiadła przy tekach i registratorach, budując z papierków gmach biurokratycznego państwa. Tak, jak legenda "chłopców malowanych" przemieniła się w synekury, zapuściła brzuszek, na twarz przywołując protekcjonalny uśmiech wyższości. Niebezpieczne są nasze legendy, a równie niebezpieczny jest nasz kult tajemniczości, uprawianej z zamiłowaniem tam, gdzie jej najmniej potrzeba.

Do szczytów doskonałości doprowadzono w swoim czasie "poufność" w Polskim Radio zapytując tajnym listem w dwóch kopertach, dlaczego pewna rozgłośnia zużywa tyle papieru hygienicznego i czy nie można by używać programów radiowych? /Autentyczne!/ Rozgłośnia odpowiedziała również "poufnie," że istotnie w wielu wypadkach pewne programy nadawały by się w zupełności do takich celów, ale wpłynęło by to obniżająco na moral urzędników, którzy muszą mieć szacunek dla własnej pracy.

Takie same spece od tajności i poufności straciły wiele czasu tuż przed wojną na wnikliwe badanie przyczyny, dla której jeden z naszych kolegów radiowych z wydziału technicznego, mieszkał w tej samej kamienicy, w której mieścił się klub Stronnictwa Narodowego. Kamienica była tak wielka, że o istnieniu "niebezpiecznego sąsiedztwa" kolega ten dowiedział się ze "ściśle tajnego" listu dyrekcji. Chłopak w obawie utraty posady "poufnie" zmienił mieszkanie, o czym znów "tajnie" zawiadomiono centralę.

Akcja tej epizodycznej farsy, jednej z wielu, toczyła się na parę miesięcy przed . . . Wrześniem. Szkoda, wielka szkoda, że nasze "poufniaki" i "sekretniaki" tak mało wiedziały w tym czasie o niemieckich krótko-falówkach umieszczonych w budkach z wodą sodową, a tak wiele o niebezpiecznym sąsiedztwie skromnego technika radiowego.

Znaki na gwiaździstym niebie i na szarej ziemi wskazują na to, że mimo ciężkich doświadczeń wrześniowych, mimo upływu lat twardej nauki, której nam los nie szczędzi, grana jest przez nas dalej z uporczywym zamiłowaniem naiwna komedyjka "poufności" i "tajności" w sprawach błahych, co automatycznie wpływa na niebezpieczne lekceważenie dochowania tajemnicy w rzeczach naprawdę ważnych, w sprawach, za które ktoś zapłacić może życiem. Dwa bieguny—jak w wielu naszych sprawach; na jednym napuszona, niepotrzebna tajemniczość, na drugim lekkomyślna, karygodna gadatliwość.

Nie miejmy złudzeń: ten stan rzeczy trwa. Czy nie dziwi nikogo fakt, że my operujemy w Szkocji tajemniczymi adresami:P/25., P/50 i.t.p. podczas, gdy lotnicy angielscy i polscy mają papiery listowe z nadrukami dokładnych adresów u góry i na odwrocie kopert z pełnym brzmieniem miejscowości i "shire." Widocznie my jesteśmy . . . "ważniejsi." Bardzo charakterystyczne. Najlepiej wybrnęła z tego pewna znajoma Szkotka, która adresując list godzi jedno z drugim: "G.P.O. Polish Forces, P/500, Dundee, High Street Polish Soldier Janek."—Trudno, oni tego nie rozumieją. Przypieczętowuje tę sprawę poczta J.K.M., wyciskając na każdym liście żołnierza polskiego datownik z wyraźną nazwą miejscowości.

Napewno nasi gospodarze nie zrozumieli by, dlaczego przychodzi do oddziału jako "poufne" list w sprawie awansowania szeregowego Obijboka na tytularnego starszego strzelca bez prawa pobierania strawnego, dlaczego jest ściśle tajne "pismo w sprawie zmiany gatunku sznurowadeł," czemu pieczątką: "Secret" opatruje się list regulujący odstęp dwóch palców przy naszywkach: "Poland?" Dojdzie do tego, że oficer gospodarczy będzie pisał "poufne" listy do kucharza w sprawie grubo krajanej marchewki, a pani świetliczarka jako "ściśle tajne" będzie sprzedawała tabliczki czekolady.

Są już podobno próby usprawnienia "poufności" na odcinku znajomości polsko-szkockich. Szkocki "darling" będzie miał wzbronione mówienie po imieniu do żołnierza polskiego, żeby "Niemcy nie poznali." Będą numerki. Każdy z nas dostanie na szyjkę kartonik z z odpowiednią liczbą. Będą nam szeptały panienki w najbardziej nastrojowych momentach filmu: "my lovely twenty four," albo "my sweet hundred two." Używać Koledzy póki czas, bo niedługo Janki, Franki, Józki, Staszki będą "ściśle tajne."

Są wśród nas ludzie, którzy pławią się w tej własnej ważności rzeczy błahych, uznanych za poufne. To przecież takiemu "typowi" dodaje splendoru, znaczenia, wagi. Nadyma się, jak jego teczka z napisem; "Tajne", zachłystuje się własnym znaczeniem, potym cedzi słówko za słówkiem, spuszcza tajemniczo oczka bełkocząc: "Nie, nie, niech pan nie żąda tego ode mnie, nie mogę powiedzieć o nowym fasonie menażek, bo to przyszło do majora jako "ściśle poufne". Pan rozumie; tajemnica służbowa!" Więc fason menażki pozostanie tajemnicą, ale taki facet wygada się na temat rzeczy znacznie ważniejszej.

Jesteśmy gadatliwi ponad miarę, tak jak "poufni" bywamy ponad potrzebę. Będąc ostatnio w Londynie nie chciałem wierzyć własnym uszom, przysłuchując się naprawdę lekkomyślnej gadatliwości pewnych osób, które nie potrafiły zatrzymać przy sobie spraw niemal największej wagi, Wskazywano mi w dwóch różnych miejscach tego samego człowieka, któremu powierzono odpowiedzialne zadanie do wykonania, a dla którego zdradzenie "incognita" mogło pociągnać najcięższe następstwa: niemożność wykonania zadania i narażenie życia.

Łatwo szafujemy dla sensacji życiem innych, tak jak łatwo lubimy dodawać blasku tajemniczości własnemu życiu. Nie zapominajmy rozpatrując to zagadnienie, że w Kraju toczy się zawzięta, podziemna walka, że tam umieją milczeć i dochowywać tajemnic, podczas gdy niektóre nasze emigracyjne "personae gratae" a raczej "persony grandy" mniej lub więcej ważne uprawiają jakże tragicznie-śmieszną na tym tle "zabawę w chowanego". Przyjęło się u nas, szczególnie w ostatnich czasach "mówienie na ucho". Chętnie rodacy nachylają się do ucha, chętnie użyczają ucha.

Szeptano tym sposobem między innymi o trzech Polakach w rosyjskiej operze w Londynie o dwóch oficerach i jednym cywilu ze stronnictwa "barytonowego". Coś jakby . . . polska misja operowa. Nie wiem, czy udział tej ekipy w rosyjskim spektaklu był przewidziany w pakcie, ale w każdym razie dusza rośnie z radości i ze zdumienia, że wymiana dóbr kulturalnych nastąpiła w Londynie tak "poufna", czy też "ściśle tajna." Wiem jednak napewno, że budzi pewne nadzieje dalszej wymiany kulturalno-artystycznej. Mogą nasi grać "Soroczyński Jarmark"—mogą oni u nas zagrać n.p. "Verbum nobile . . ." Niewłaściwą może była by propozycja udziału w "Strasznym Dworze" albo w "burżuazyjnej" "Hrabinie".

Materiały do wymiany są olbrzymie. Możemy sięgnąć do literatury dramatycznej, do rzeczy wypróbowanych i powszechnie znanych. Możemy grać więc na zmianę: my—"To co najważniejsze"—oni: "Krąg interesów"; my udramatyzowany utwór Dickensa p.t. "Opowieść o dwóch miastach"—oni: "Jeden dzień bez kłamstwa".

Niebawem mamy zamiar wystawić wielką nową sztukę, z którą wiąże się myśl i serce . . . Sztuka ta nosi tytuł "Lwów-miasto zawsze wierne". Jestem pewny, że w drodze rewanżu za "Soroczyński Jarmark" pozyskamy dla naszej imprezy cenny współudział całego zespołu opery rosyjskiej z Londynu. Jak wymiana to wymiana!

Podkreślam, że pomysł ten jest na razie "poufny," a propozycja "ściśle tajna." Secret.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Pomoc dla Polaków w Rosji

Przesyłam kwotę £45 8. 9., jako całkowity dochód z zabawy żołnierskiej urządzonej przez 1. Pułk artylerii lekkiej 1. Brygady Strzelców, z przeznaczeniem na Fundusz Pomocy Polakom w Rosji.—

Dowódca Pułku

* * *

Przesyłam na pomoc dla Polaków w Rosji £2 zamiast podarunku dla córeczki Agnieszki, przebywającej w kraju, w dniu jej urodzin.

Adam Kujawski

* * *

P. T. Redakcja "Polski Walczącej".

Przesyłam w załączeniu "Money Order" na sumę £3 (funty trzy) — przeznaczoną na "Pomoc dla Polaków w Rosji" dla uczczenia rocznicy urodzin mego synka Mareczka.

Proszę łaskawie wpisać do księgi rachunkowej: "Polak Polakowi bratem" założonej w chwili prawdziwego natchnienia przez p. Wiktora Budzyńskiego.

* * *

Bezimienny Rodak

Zamiast prezentu imieninowego dla żony mojej Nuny pozostałej w kraju funtów 5 (pięć) składam na pomoc dla Polaków w Rosji.

Zdzisław Z. por. kaw.

* * *

Zamiast upominku w dniu imienin naszego miłego kolegi. Henryka Hausmana składamy kwotę 1 funta na pomoc dla Polaków w Rosji.

Czołówka Teatralna W.P. "Lwowska Fala"

* * *

Nadto otrzymaliśmy na ten cel następujące ofiary: Dr. W. B. £2; p .Półkozic honorarium za artykuł p.t. "Błękitny chłopiec otrzymane z Biuletynu Swiatpolu" £1; p. A.W. honorarium za artykuł w "Perthshire Advertiser" £2 2 sh.; por. Z.W. £2; Polacy jednego z sanatorium £7 (kwota omyłkowo zapisana w nr. 489 "Dziennika Polskiego" na konto tego pisma; por. sprostowanie nr. 491).

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze: £70 10 sh. 9 d. (słowami: siedemdziesiąt funtów szter. dziesięć szylingów, dziewięć pensów) przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do: £426 9sh. 1d. (słownie: czterysta dwadzieścia sześć funtów szter., dziewięć szylingów, jeden pens).

Skrzynka pocztowa

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Mam wrażenie, że wielu z nas jednakowo odczuwa brak możności wymiany swych myśli z Polakami w Kraju. Gwałtowny i tragiczny zwrot w naszym życiu, począwszy od września 1939 r. aż po dzień dzisiejszy, powoduje przemiany w naszej psychice, zbyt często chorobliwe.

Wydaje się, że chwilami zatraciliśmy w sobie zupełnie kontakt z Krajem. Długie i zupełne oddzielenie nas od Polski i jej atmosfery, odmienny i lepszy tryb życia w wolnym kraju, zabija w nas możność należytego i szczerego odczucia doli cierpiących rodaków. Przyzwyczailiśmy się słyszeć o prześladowaniach, ze smutkiem czytamy o bestialskich metodach germanizacji . . . szybko jednak wracamy myślą do naszych codziennych drobnostek i kłopotów. Nie ma w nas należytego i bezpośredniego wczucia się w tragizm codziennych zmagań i bohaterstwa w Kraju. Nie mamy już w sobie na tyle siły, by co dzień, każdej naszej czynności i każdej myśli towarzyszył odgłos junkierskich butów, depczących z mocą wszystko co polskie . . .

Nie wolno nam zapominać, że emigracja dzisiejsza to okres przejściowy, że mamy wrócić tam, że normalny tryb życia tylko tam, w Wolnej Polsce może być wznowiony. Musimy więc zwalczać w sobie przyzwyczajenie, to wszystko, co stwarza pozory, że życie płynie normalnym trybem, żo wolno nam zespalać się z tym nowym środowiskiem, stając się jego częścią, myśląc jego kategoriami,

. . . lub, że równie jak w normalnych warunkach, korzystać nam wolno w pełni z naszych praw . . .

Czyż rozdźwięki naszej emigracji lub choćby stale rosnąca liczba małżeństw z Angielkami—nie jest najlepszym potwierdzeniem tych słów?

Dochodzą do nas dziś słowa z Rosji—słowa o nędzy i cierpieniu. Są głosem z Kraju!

Sądzę, że nawiązanie jak najściślejszej łączności z Polakami w Rosji jest nadzwyczaj pożądane. Chodzi mi tu o łączność bezpośrednią, listową. Może listy te uchronią nas od wielu złych skutków przebywania na emigracji.

Przypuszczam również, że i nasze słowa, wysyłane z kraju, który tak dzielnie przeciwstawia się niemieckiej agresji, będą chętnie przez nich czytane. Specjalnie może starać się trzeba o nawiązanie takiego kontaktu z nasza ludnością cywilną, znajdującą się w Rosji. Żołnierz zajmie się swoimi sprawami i nie będzie miał może czasu na pisanie. Pozostanie liczna ludność cywilna, wśród której znajduje się wiele kobiet polskich. Dużo dziś mówi się u nas o bohaterstwie Polki. Trzeba im powiedzieć, co o nich wiemy i co mówimy. Trzeba je podtrzymać na duchu. I—nas.

Proponuję—jeśli oczywiście projekt ten uważa Pan Redaktor za realny—podjęcie przez redakcję "Polski Walczącej" pośrednictwa w nawiązaniu tej właśnie łączności z Polakami w Rosji.

Łączę wyrazy szacunku,

En. Jot. /O.R.P. "Piorun"/

P.S. Jeśli by powstała w red. "Polski Walczącej" lista kandydatów, chcących korespondować z Polakami w Rosji, proszę o wpisanie na tę listę i mego nazwiska.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

na list mój w sprawie pomocy dla Polaków w Rosji łaskawie zamieszczony przez Pana w nr. 5 Pańskiego pisma,—"Wiadomości Polskie" odpowiedziały notatką tak charakterystyczną, że ośmielam się prosić Pana o zamieszczenie jeszcze tego krótkiego wyjaśnienia, aby *istota sprawy* nie została pokryta "dymną zasłoną" ironicznych przymówień osobistych i dowcipów, bo jak mówi Mackiewicz "dowcip to rzecz delikatna", zwłaszcza w odniesieniu do rzeczy poważnej, w tym przypadku można nawet bez przesady powiedzieć: tragicznej.

Pomijam zaciekawienie, czy może lekceważenie wyrażające się w słowach: "nieznany nam bliżej" oraz niezwykły sposób ujmowania nazwiska w cudzysłów, choć dotąd nie utarło się w stosunkach międzyludzkich pisać: "Zygmunt Nowakowski" lub "Krzysztof Nienaski".

Lojalnie wolę się zająć tym, co dla autora notatki według wszelkiego prawdopobieństwa było najważniejsze, mianowicie stwierdzeniem: "Pismo nasze o Rosji nie zapomniało, przeciwnie, pamiętało o niej pierwsze, mianowicie w lipcu roku ubiegłego". Przejrzałem numery "Wiadomości Polskich" poczynając od lipca 1941 do chwili obecnej i nie znalazłem w nich *ani słowa o pomocy dla Polaków w Rosji.* Jako "niewyrobiony czytelnik" liczę się z możliwością, że za pamięć o Polakach w Rosji "Wiadomości Polskie" uważają "Batorego pod Pskowem" czy "Kiwerkową Górkę". Jestem skłonny przypuszczać, że człowiek czujący doszuka się w tych artykułach tylko "jadu," nie "miodu," gdy przecież idzie o chleb dla głodnych i marznących.

Pozostaję uparcie i "charakterystycznie gorliwy".

Adam Kujawski

P. Zdzisław Charewicz jest proszony o podanie adresu do redakcji.

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.